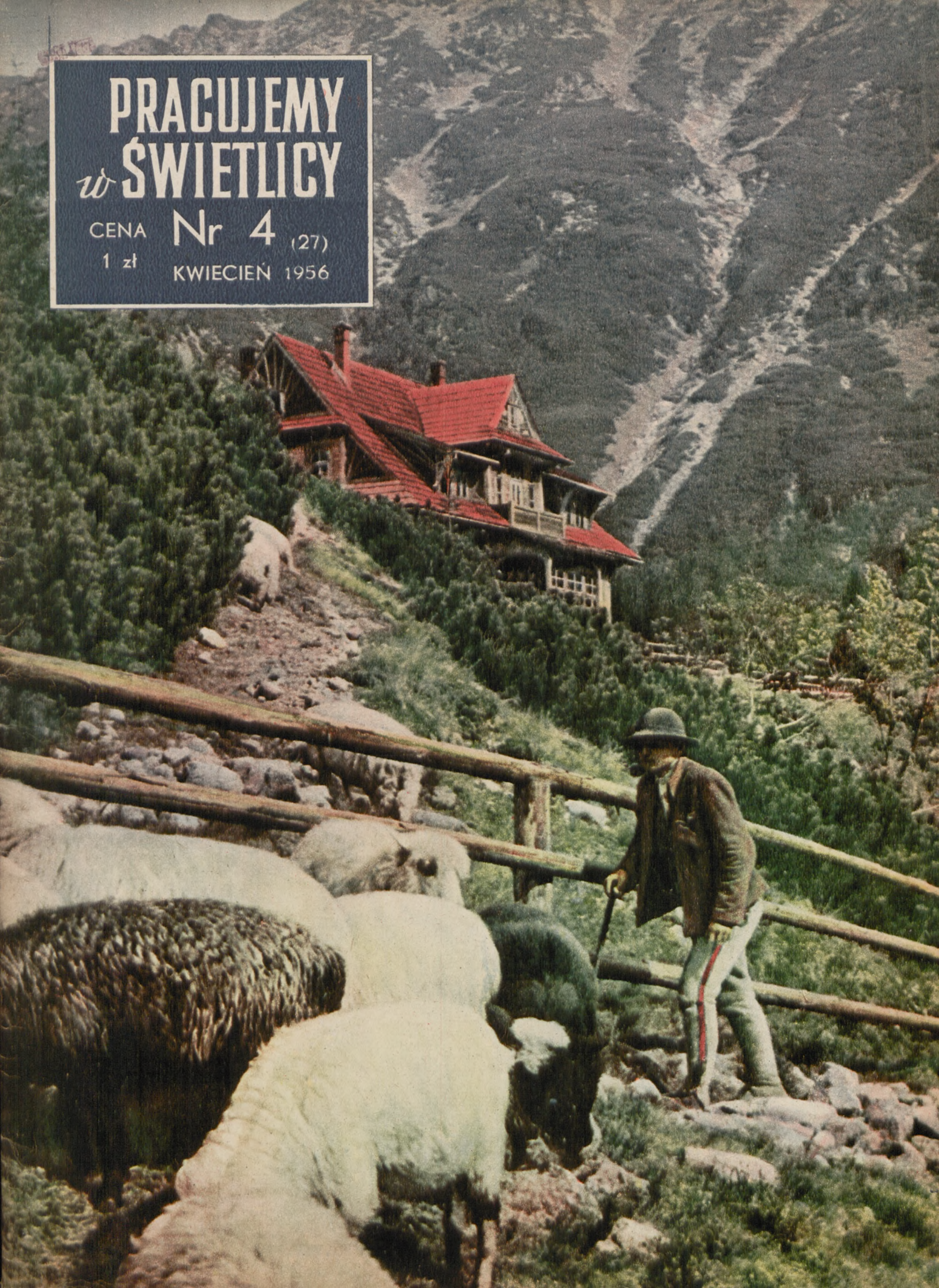
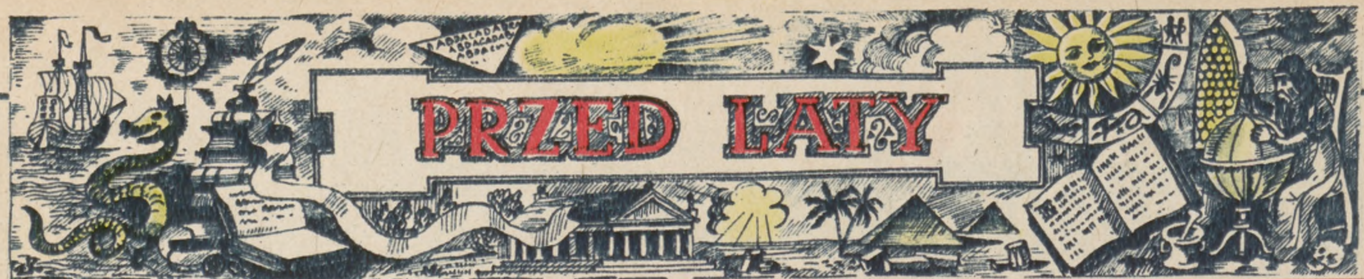
PRACUJEMY w ŚWIETLICY

CENA 1 zł

Nr 4 (27)

KWIECIEŃ 1956





O HISTORII TYTONIU SŁÓW KILKA

Używanie tytoniu należy do najbardziej rozpowszechnionych nałogów ludzkich.

Tytoń pochodzi z podzwrotnikowej Ameryki i przed rokiem 1558 w Europie był całkiem nieznany. Kolumb, odkrywszy Amerykę, spotkał się z tytoniem u mieszkańców wysp Bahamskich. Palili go oni w formie zwiniętych liści — niczem dzisiejsze cygara. Zwyczaj ten znany był tubylcom długo przed przybyciem Europejczyków. Świadczą o tym fajki, znajdywane w grobach meksykańskich obok miast, które od czasów niepamiętnych leżą w gruzach.

Do Europy dostał się tytoń daleko później (1558 r.). Przywiózł go don Fernandez de Toledo, lekarz przyboczny króla hiszpańskiego. Odkrył on pewne własności lecznicze tytoniu i polecał okłady z jego liści przeciw „wyrzutom i chorobom skóry", a palenie przeciw „morowemu powietrzu". Przebywający wtedy w Lizbonie poseł francuski Jan Nicot, będąc świadkiem jednego uzdrowienia, poznał tę roślinę i przesłał ją wraz z nasionami do Francji. Od nazwiska Nicot'a bierze się łacińska nazwa tej rośliny n i c o t i a n a. We wschodniej Europie tytoń znany był już na początku XVII w. Do Polski pierwszą roślinę miał przysłać z Konstantynopola w r. 1590 poseł Zygmunta III, Uchański. Na początku zaś XVIII w. tytoń był już u nas — jak o tym świadczą ówczesne kroniki — „pospolicie uprawiany i używany".

Z nałogiem palenia rozpoczęto w tym wieku zdecydowaną walkę. w Szwajcarii nakładano na palących wysokie kary pieniężne i stawiano pod pręgież. W Rosji, Turcji i Persji palącym obcinano nos i uszy, a nawet wydawano wyroki śmierci.

Trudno nam w to uwierzyć dziś, gdy palenie stało się powszechnym, aczkolwiek szkodliwym dla zdrowia przyzwyczajeniem. Tym niemniej jednak nikt nikomu za to uszu nie obcina, co najwyżej młodzi palacze otrzymują „nacieranie" uszu od swych opiekunów, ale podobno jest to mniej bolesne, aniżeli ich obcinanie.



Dzieje łowów i polowań

Polowanie jest dzisiaj przeważnie miłym i pasjonującym sportem. Jakże inaczej było 20.000 lat temu, gdy jedynym środkiem zaspakajania swych życiowych potrzeb było polowanie.

Nasi przodkowie posługiwali się w czasie łowów ogromnie niedoskonałymi narzędziami, dalekimi od naszej strzelby, starego łuku lub chociażby włóczni. Rzucali oni po prostu ciężkimi kamieniami. Można sobie wyobrazić, jaką ów pierwotny człowiek posiadał siłę i zręczność, skoro jednym, trafnym rzutem ciężkiego kamienia zabijał wielkie, potworne mamuty.

Już pewnym postępem było kopanie jam. Jamę taką wykopywano na ścieżkach, którymi chodzą zwierzęta i zakrywano je starannie liśćmi i roślinami. Wielką inowacją był wynalazek harpunów z kości, których okazy znaleziono w grotach Francji i Hiszpanii, dawnych mieszkaniach ludzi pierwotnych.

W pewnych korzystnych warunkach można było łowić zwierzęta przez strącanie z wysokich miejsc. W dolinie rzeki Saony we Francji, znaleziono u stóp stromej skały rozbite szkielety 100.000 dzikich koni. Konie te, zamieszkujące gromadnie ówczesną okolicę, były całymi trzodami ścigane przez hordy pierwotnych ludzi i pędzone właśnie na ową stromę skałę, z której spadały. Wykrawano z nich potem najsmaczniejsze kąski i urządzano wspaniałe uczty.

Jedną z najstarszych i najciekawszych metod łowieckich, jest gonienie „na śmierć". Urządza się je w pojedynkę, albo grupowo, tak, np. Buszman, mieszkaniec południowej Afryki ściga antylopę w powolnym, lecz bezustannym tempie, nie pozwalając jej odetchnąć, godzinami od rana do wieczora.

Oswojenie konia stało się dla ludów pierwotnych wielkim przewrotem w rzemiośle myśliwskim. I tak np. podczas, gdy do XVI w. Indianie amerykańscy mogli zbliżyć się do bizona jedynie w masce (odziani w skóry innych zwierząt) lub po śniegu na pewnego rodzaju nartach, to w następnych stuleciach aż do XIX w. stali się Indianie wyłącznymi władcami prerii i wytępili na koniach te potężne zwierzęta. Łowy takie były w wysokim stopniu niebezpieczne, pełne dramatycznych momentów i niejednokrotnie zdarzało się, że Indianin, z chwilą, gdy jego wierzchowiec legł pod razami rogów rozjuszonego zwierzęcia, przeskakiwał z konia na grzbiet bizona, którego uśmiercał.

JAK TO BYŁO ZE SZKŁEM?

W średniowieczu wyroby szklane były rzadkością. Dzbany i puchary szklane do wina były wykonywane wówczas w Wenecji, a sprzedawane przez kupców weneckich za bajońskie sumy na wszystkie dwory Europy.

Wenecjanie celowali w wykonywaniu tych przedmiotów, były one kunsztownie zdobione, wiele z nich było wykonywanych z różnokolorowego szkła.

Sztuka wykonywania szklanych przedmiotów była szczególnie strzeżona przez chytrych dożów weneckich, którzy — bojąc się konkurencji — wysiedlili wszystkich szklarzy wraz z ich prymitywnymi piecami i urządzeniami na wyspę Murano, znajdującą się na Morzu Adriatyckim, w odległości dwóch kilometrów od Wenecji. Było to zabezpieczenie tajemnicy produkcji.

Wysiedlonym szklarzom, między którymi było bardzo wielu mistrzów szklarskiego kunsztu, nie wolno było zmieniać miejsca zamieszkania.

Zmiana miejsca pobytu była zawarowana ustawami i represjami w stosunku do winnych.

Jedna z ustaw o przemyśle szklarskim z 1454 r. głosiła:

Jeżeli jakiś robotnik lub mistrz przeniesie swój kunszt z Wenecji do innych miejscowości ze szkodą dla republiki, zostanie mu wysłany rozkaz powrotu. Jeżeli nie usłucha, osadzeni zostaną w więzieniu jego najbliżsi krewni, żeby zmusić go w ten sposób do posłuszeństwa. Jeżeli usłucha, przeszłość będzie mu wybaczona i otrzyma pracownię w Wenecji.

Jeżeli mimo osadzenia w więzieniu jego krewnych będzie trwał w swym postanowieniu pozostania na obczyźnie, zostanie tam wysłany agent, który otrzyma polecenie zabicia go.

Nie była to zresztą czcza pogróżka. Zabójstwa takie popełniano rzeczywiście.



BOLESŁAW BIERUT

64 lata temu 18 kwietnia 1892 r. urodził się na przedmieściu Lublina, w rodzinie małorolnego chłopa — Bolesław Bierut. W trudnej i uciążliwej walce z caratem, rodzimymi kapitalistami i okupantem hitlerowskim wyrósł na wielkiego bojownika o szczęście ludu polskiego.

Pod przewodnictwem Partii, której był On najwybitniejszym działaczem i przywódcą masy pracujące naszego kraju zdobyły władzę. 11 lat Polski Ludowej nierozerwalnie związane jest z Jego imieniem.

12.3.1956 roku odszedł od nas Bolesław Bierut, pozostawiając cały naród w wielkim żalu po stracie drogiego wszystkim nauczyciela i przyjaciela. Odszedł od narodu, któremu poświęcił swoje życie, odszędł od młodzieży, którą tak ukochał i którą z tak wielką troską się zajmował.

Nie zapomnimy słów towarzysza Bolesława Bieruta, które niejednokrotnie kierował do młodzieży: „Czekamy na Was byście zasilili kadry budowniczych Polski Socjalistycznej. Partia liczy na Was. Będziecie naszą zmianą, która zastąpi nas w walce o nową Polskę." Bolesław Bierut nie żyje, ale dzieło, któremu służył żyje w narodzie polskim i żyć będzie po wieczne czasy.

BYŁO TO NA II ZJEŹDZIE ZMP

Z Towarzyszem Bierutem zetknęłam się na II Zjeździe ZMP. Kiedy wszedł na salę obrad, słowa powitania zagłuszyły okrzyki i huragan braw. Długo trwały owacje... Słuchaliśmy z zapartym oddechem jego przemówienia... I wtedy właśnie bardziej niż kiedykolwiek poczuliśmy się związani z ideą, której był wyrazicielem.

W czasie przerw tłum delegatów ze wszystkich stron kraju ciasnym kręgiem otaczał I Sekretarz KC. Każdy z nas chciał zamienić z Nim choć parę słów, zdybyć Jego autograf na mandacie zjazdowym. A On? Serdecznym spojrzeniem obejmując gromadę zaskakiwał nas znajomością problemów nurtujących całą młodzież, troską o jej warunki życia pracy i nauki...

Pamiętam jak dwoje małych harcerzy, w czasie Zjazdu wdrapało się Tow. Bierutowi na kolana i wiązało Mu harcerską chustę na szyi. Siedziałam wówczas nie dalej niż dwa metry od Tow. Bieruta. Widziałam jak w jego oczach zakręciły się łzy wzruszenia. Przygarniając do siebie dzieciaki zdawał się mówić: was trzeba kochać najwięcej, wam najwięcej poświęcać uwagi...

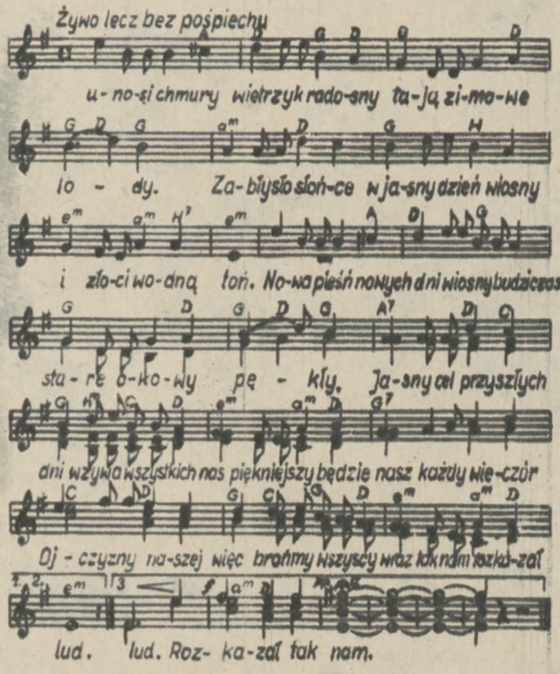
Spotkałam jeszcze raz Tow. Bieruta w kuluarach AWF, żywo dyskutującego z grupą delegatów o pracy organizacji zetempowskiej, o warunkach życia naszego społeczeństwa, o sprawach nurtujących wielu, wielu ludzi. Udało mi się porozmawiać z Nim dłuższą chwilę. Ze wzruszeniem przyjął pozdrowienia od młodzieży województwa, miasta, szkoły, którą reprezentowałam na Zjeździe, od klasy, do której uczęszczałam, wreszcie od najbliższej mojej rodziny. Powiedział mi wówczas: „Towarzyszko, o wszystkich trudach się zapomina, kiedy ludzie pamiętają..."

Jestem pewna, że będą pamiętać. Dlatego właśnie, że Tow. Bierut całe życie myślał i pamiętał o nich. Sam zresztą powiedział: „Troska o prostego człowieka, człowieka o zwykłym, ale jakże czułym sercu, troska o jego lepsze życie, o lepszy jego los i przyszłość, jest sprawą najświętszą".

Maria Frankówna



NOWA PIEŚŃ



Stary nasz Dunaj skrzy się i mieni,
dumnie wypływa flota.
Rozkwita wiosna w sadów zieleni
i w głębi naszych serc.
Nowa pieśń...

W słonecznym blasku budzi się życie,
siły budzą się nowe.
Szczęście i radość w pracy rozkwicie
przynosi nowy los.
Nowa pieśń...

W PIERWSZOMAJOWE ŚWIĘTO

Ziembicki — ze zbioru Wzajemnych Uczuć

PORANEK PIERWSZOMAJOWY

Wychodzę z domu, patrzę — inna jest moja ulica,
Każdy przechodzień mnie wita, a nawet drobny pierwiosnek
Zmienia się w dłoni i bardziej niż co dnia ludzi zachwyca.
To jest ten sam pierwiosnek, a większą zwiastuje wiosnę.
Maju, maju radosny, maju, poranku wiosny,
Maju, poro kwitnienia, poranku dojrzewania,
Ukwiecone są dłonie ludzkie, co ciebie wzniosły —
Różo roku, czerwona i umiłowana.
Szliśmy do ciebie lasem o głodzie i chłodzie
I szliśmy ulicami bez słowa, bez pieśni.
Żandarm stał nam na drodze, odwracał się przechodzień,
Kiedyśmy szli na przełaj, kiedyśmy kwiaty nieśli.
Maju, maju czerwony, niezastąpiony maju,
Nie ma dziś takiej łąki, gdzieby nie zakwitał
Kwiat dla ciebie zerwany. Ja dziś w moim kraju
Wznoszę jeden pierwiosnek i cały świat witam.

Edward Szymański

PIERWSZY MAJ

Na wsi nędzą przeżartej wita Ciebie, Dniu Maja,
pomruk głodu od wioski do wioski.
Jakże długo potrafi jeszcze głód zaspokajać
nabożeństwo do Matki Boskiej?

Wita Ciebie, Dniu Święta, po kopalniach, fabrykach
bezrobocie rosnące jak powódź.
Lokaut pięścią żelazną drzwi warsztatów zamyka
— a nuż płace obniży się znowu.

Wita Ciebie na wiecach szpicel z kneblem pod klapą,
każde słowo zapisze, doniesie,
Bądź „radosny" — inaczej ktoś opatrzy ten raport
carską cyfrą na polskim procesie.

Wyjadą Ciebie powitać, Pierwszy Maju Czerwony,
z całą galą, strojnie, zbrojnie, buńczucznie,
na ulicach miast głodnych — granatowe plutony,
aby salwą w razie czego Cię uczcić.

Wyjdźże, nasz Pierwszy Maju, naprzeciw.
Bez bicia w dzwony, bez salw błysku —
łuną sztandarów zaświecić
na cmentarzysku!

Moc tchnij w osłabłe ręce,
podnieś schylone głowy,
Świat stary kona w męce —
w męce się rodzi świat nowy!

JÓZEF PRUTKOWSKI

JĘZYK WIOSNY

W ramach konsekwentnej polityki przyrody
Obywatelka wiosna zajęła wsie i ogrody

Realizując w ramach spontanicznego czynu
Zwycięską rywalizację z obywatelką zimą.

Na drzewie zielony liść okólnik wiosny.
Ankietę wypełnia chór ptaków radosny.

Że w związku z wyż. wymienionym okólnikiem
Współzawodnictwo rozpoczął skowronek ze słowikiem.

Kwiaty stoją w ogonku przed wejściem na grządkę.
Czekają jeszcze tylko na kwietną pieczątkę.

A kwiecień-plecień, wiadomo przeplata
Trochę zimy i lata, no cóż? — biurokrata.

Wiosna przemawia: — Zgodnie z postulatem,
Przybywam tuż po zimie, tuż przed latem.
W celu krzewienia i upowszechnienia
Tudzież w charakterze poetów natchnienia,
Realizując w całej rozciągłości...

— Wiosno, wszak mówiłaś niegdyś o miłości.
Śpiewałaś najsłodziej polom, łąkom, puszczom...
— Mogłabym i teraz, ale czy to puszczą?

— Zakochałem się, wiosno, w najlepszej kobiecie
I fakt ten rejestruję w partyjnej gazecie.

I widzisz, wiosno, puszczają, puszczają,
Więc śpiewaj o miłości, o szczęściu, o maju.

(Ze zbioru: „Gdybym był Gogolem" Prutkowskiego)

Władysław Broniewski

PIEŚŃ MAJOWA

**Znasz ty Warszawy oblicze
Jej nieśmiertelne piękno,
gdy zdawało się — serce jej pękło,
a ono płonęło zniczem
nadziei, ofiary, męstwa,
nieśmiertelnego czynu?
Oto ona posąg zwycięstwa,
urąga własnym ruinom!**

**A znasz ty Łodzi oblicze,
Łodzi złej, robotniczej,
groźne, uparte, zacięte
w walce o chleb i warsztat,
o godność, o bruki miasta,
o prawo człowieka święte?
Ona jest pracy pociągiem!
Patrz ręce komina wyciąga.**

**Znasz ty Zagłębia potęgę,
Śląsk co jak krater dymi?
Patrz na okręty w Gdyni
Ładują węgiel!**

**Rośnie kraj. Skrzypią wyciągi.
Z ruin podnoszą się miasta.
Płyną okręty. Pędzą pociągi.
Dzień nam roboczy nastał.**

**Przeto dziś o poranku majowym,
podzielimy się dobrym słowem,
pójdziemy radośni i prości,
czerwienią sztandarów skrzydlaci,
pieśniami drogę wymościć
tej, co za krew nam zapłaci —
Wolności.**

Tadeusz Fangrat

Ze zbioru „Obrachunki Wiejskie".

CHYTRY GRZEGORZ

Dziwny człowiek jest ten Grzegorz.
Brać spółdzielcza szydzi z niego,
Że bumelant i ladaco,
Bo na bakier żyje z pracą.
Z brygadzistą wciąż się czubi
Stale gdera, że dzień długi,
A najbardziej się tym troska,
Że nie może nigdy dospać,
Więc śpi długo, kiedy inni
Już od świtu w polu czynni
I zatyka uszy watą,
By mu traktor nie kołatał.
Choćby teraz: w sadzie siedzi
Jak znudzony życiem dziedzic
Z wyjściem w pole ciągle zwleka,
A robota czeka, czeka...
Słońce pali całą siłą,
Już pół dniówki odrobiło,
Chciałoby mu być podnietą,
Ale Grzegorz myśli nie tu:
Roją mu się plany dziwne
O urlopie w czasie żniwnym,
O tym, by rzuciwszy pracę
Jeść gołąbki i kołacze.
Właśnie z pola ciągną młodzi!
Krzyczą: „temu się powodzi!
Żyje sobie jak w niedzielę,
O robotę nie dba wiele,
Nawet w orce pomóc nie chce,
Czas opisać to w gazetce!"
A nasz Grzegorz kręci głową:
„Dajcie spokój takim słowom,
Mam ja pracę, choć nie orzę,
Lecz haruję nienajgorzej.
Oto teraz niby siedzę,
A frasuję się i biedzę
Czy trudnościom radę damy,
Czy plan orki wykonamy?"

Jerzy Litwiniuk.

KOLEDZY, STAWIAJMY PROŚCIEJ ZAGADNIENIE DZIURY W MOŚCIE

Było to we wsi Konopie
Nad jeziorkiem Żabia Topiel:
Jest tam mostek i grobelka,
a w tym mostku dziura wielka.
Są tam również dzielni chłopcy —
co tu chwalić — zetempowcy!
Uroczystość chcą majową
uczcić pracą przebojową.
Mają deski, mają gwoździe,
Załatają dziurę w moście!

*

A no dobrze, jest zebranie.
Przybywają również na nie
ten kolega, ów kolega,
aktywista i delegat.

Pragną zabrać mili goście
głos swój w sprawie dziury w moście!
Ja koledzy, jeśli mogłem
dziury w moście ująć problem
wyodrębnić, rzucić na tło
i rozpatrzyć ją pod światło,
to koledzy również winni
uaktywnić się na linii,
w nowej ją uchwycić fazie,
mocno oprzeć się na bazie,
podsumować doświadczenie
zmobilizować"

Milczenie.

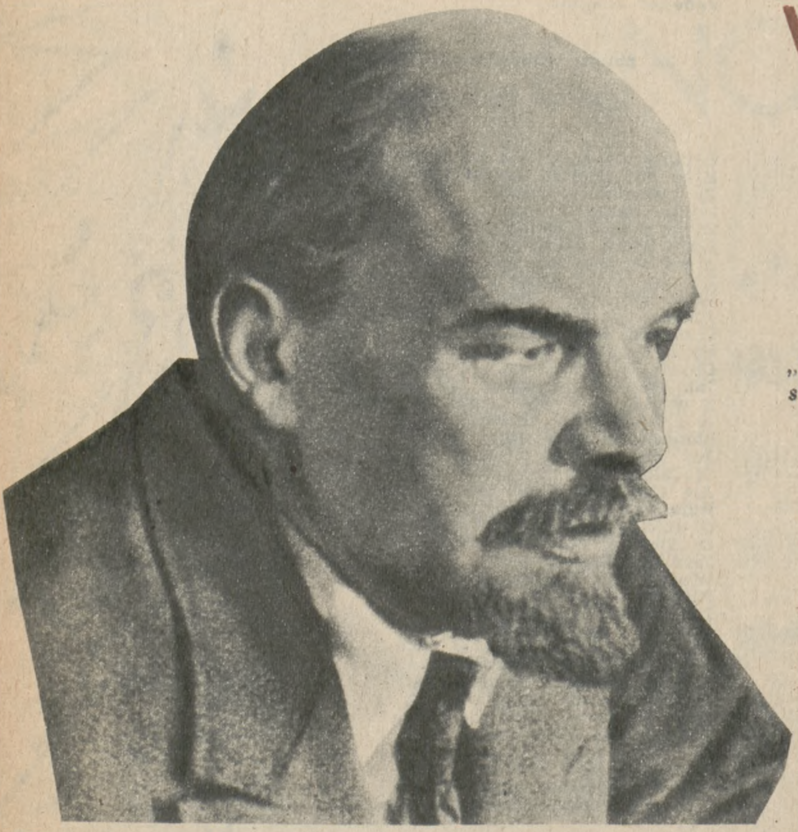
Milczy też przewodniczący
wyraz twarzy ma cierpiący,
Jakby makiem zasiał salę.
Ktoś nieśmiało wznosi palec:

„Ja koledzy nie wiem, nie wiem,
cieślą jestem, robię w drzewie,
wiem, co wręgi, klamry skoble,
ale nie wiem, co to „problem"
i czy bardzo to narzędzie
w pracy nam pomocne będzie,
bo bez niego kładziemy
tę robotę
w dwie godziny".

*

Koledzy, stawiajmy prościej
Zagadnienie dziury w moście!





WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN

„Wciąż na świecie olbrzymieje pochód — Myśli, słów i czynów Lenina" (*Majakowski*).

22 kwietnia mija 86 rocznica urodzin Włodzimierza Iljicza Ulianowa (Lenina). Masy pracujące całego świata czczą ten dzień, jako swoje święto, jako święto na cześć Tego, który powiódł ich do zwycięskiej walki o lepsze życie, Tego, który stworzył i wychował Partię Komunistyczną Rosji, stworzył pierwsze państwo robotników i chłopów.

Lenin umarł 21 stycznia 1924 roku. Jego dzieło żyje i rośnie. Jego genialne myśli wciąż z nową i nową siłą ukazują ludziom pracy na wszystkich kontynentach globu ziemskiego drogi zwycięstw w walce z wojną, z uciskiem, zacofaniem i nędzą.

NOWY TRIUMF LENINOWSKIEJ MYŚLI

„Zrealizować w zasadzie w mieście i na wsi powszechne średnie nauczanie dzieci i młodzieży w średnich szkołach ogólnokształcących (dziesięciolatkach) oraz w specjalnych średnich zakładach naukowych".

Gdy czytałem kilkakrotnie ten drobny fragment wielkich Dyrektyw XX Zjazdu KPZR w sprawie szóstego planu pięcioletniego, nieodparcie przypominała się walka w sprawie kultury, jaką Lenin na długo przed Rewolucją Październikową zwycięsko stoczył z oportunistami w ruchu robotniczym. Przeciwnicy Lenina głosili pogląd, że klasa robotnicza nie może zdobyć władzy dopóki masy pracujące nie osiągną „określonego" poziomu kultury, dopóki nie wychowają wystarczającej ilości wyrobionych kulturalnie kadr.

„Rosja carska, krzyczeli oni, jest ciemna i zacofana". „W Rosji niemal 80% ludności stanowią analfabeci". „Jakże więc w niej dokonać rewolucji socjalistycznej, jak zbudować społeczeństwo socjalistyczne, o przodującej kulturze?". „To jest, głosili oni — porywanie się z motyką na słońce!" „Trzeba poczekać z rewolucją" — takie było ich stanowisko.

W swojej druzgocącej odpowiedzi, Lenin dowiódł wtedy, że w społeczeństwie burżuazyjnym klasa robotnicza i pracujący chłopi nigdy nie będą w stanie osiągnąć wysokiego poziomu kultury, gdyż kapitaliści są zainteresowani w tym, by wśród mas pracujących panowała ciemnota, by robotnicy posiadali jedynie taki zasób wiedzy, jaki jest niezbędny do obsługiwania maszyn, do wytwarzania dóbr właśnie na rzecz kapitalistów.

Lenin wykazał wtedy, że godzenie się z radami owych zwolenników czekania z rewolucją, równałoby się w praktyce odroczeniu rewolucji na czas nieokreślony, oznaczałoby rezygnację z rewolucji w ogóle, a tym samym oznaczałoby uwiecznienie i niewoli, i ucisku i ciemnoty mas pracujących. Naczelnym zadaniem — uczył Lenin — jest zdobycie władzy przez klasę robotniczą. Dopiero po tym klasa robotnicza może stworzyć warunki sprzyjające szybkiemu rozwojowi poziomu kulturalnego mas pracujących, dopiero wtedy może wykształcić wysokokulturalne kadry wywodzące się z ludu pracującego. Dopiero po zdobyciu władzy można dokonać rzeczywistej i rzeczywiście powszechnej rewolucji kulturalnej.

Myśli te były wypowiedziane dawno. Dziś jesteśmy świadkami jak coraz pełniej, coraz wyraziściej przekształcają się one w niespotykaną w historii rzeczywistość.

Dziennikarze amerykańscy chełpią się, że Stany Zjednoczone produkują znacznie więcej niż Związek Radziecki, pralek elektrycznych i telewizorów. To prawda. Ale jednocześnie ci sami dziennikarze biją na alarm, że Związek Radziecki już dziś wyprzedził przodujące kraje kapitalistyczne w produkcji najcenniejszego kapitału — kadr, inżynierów, techników, lekarzy, uczonych.

20 — 40 lat w historii narodów, to niewiele, to kropla w morzu. Ale jakże odległe wydają się lata, w których Lenin, gdy jeszcze trwała wojna domowa, gdy młoda Republika Rad krwawiła i głodowała rzucił hasło: „Nauczyć Rosję czytać!"

Jakże odległe, jakże stare! Analfabetyzm znikł już dawno z ziemi radzieckiej. Znikł również, jako społeczna choroba (poza Chinami) ze wszystkich krajów demokracji ludowej.

Dziś w Związku Radzieckim hasłem na najbliższe pięciolecie jest: **Każdy młody człowiek w mieście i na wsi — co najmniej średnie wykształcenie!**

Nie było i nie ma na świecie takiego kraju kapitalistycznego, w którym każdy młody człowiek mógłby i miał obowiązek uzyskać średnie wykształcenie. Nie było i nie ma na świecie takiego kraju, w którym by państwo stwarzało wa-

runki umożliwiające młodzieży osiągnięcie tego celu. Takim państwem może być tylko państwo socjalistyczne, którego włodarzem jest lud pracujący miast i wsi, które osiągnęło odpowiedni poziom rozwoju gospodarczego i politycznego.

Kiedyś na porządku dziennym w Związku Radzieckim stało zlikwidowanie analfabetyzmu, potem wprowadzenie powszechnej oświaty w zakresie szkoły 7-klasowej, dzisiaj w zakresie szkoły średniej. A przecież to jeszcze nie jest ostatnie słowo! Nie koniec na tym! Wspomniane Dyrektywy XX Zjazdu wskazują, że już w najbliższej pięciolatce poważnie rozwiną się wyższe uczelnie, wzrośnie liczba specjalistów z wyższym wykształceniem. A co przyniosą w tej dziedzinie przyszłe pięciolatki?

Żyjemy w niezwykłej epoce. Żyjemy w czasach kiedy radykalnie zmieniają się, przekształcają się całe narody. Na naszych oczach, (z czego wielu może nie zdaje sobie sprawy) nasz kraj z zacofanego, w którym co trzeci człowiek był niepiśmienny (oficjalna statystyka przedwojenna!) przekształca się w kraj o przodującej kulturze.

Niech się amerykańscy politycy chwalą, że na głowę ludności produkują w tej chwili więcej niż w Związku Radzieckim stali i węgla, pralek elektrycznych i telewizorów. Wiemy, że u nich przemysł zaczął się rozwijać wcześniej. Wiemy, że wojny nie poczyniły im żadnych szkód, a naodwrót przyniosły kapitalistom amerykańskim ogromne zyski. Ale wiemy również, że tempo wzrostu produkcji przemysłowej w Związku Radzieckim jest 3 — 4 razy większe niż w USA. Niedaleki jest czas gdy Związek Radziecki, a w ślad za nim i kraje demokracji ludowej, prześcignie kraje kapitalistyczne w wielkości produkcji stali, węgla i innych artykułów na głowę ludności.

Już dziś ZSRR wygrał ze światem kapitalistycznym walkę z ciemnotą i zacofaniem, walkę o kadry, już dziś, w tym pięcioleciu, zwycięsko kończy nowy etap rewolucji kulturalnej.

Jest to nowy triumf leninowskiej myśli. Triumf, który i my Polacy witamy z radością wiedząc, że jutro stanie się on i naszym bezpośrednim udziałem.

Janusz Wiśniewski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

SŁOWA NASZE...

z poematu „Włodzimierz Iljicz Lenin"

Słowa nasze,
nawet
co ważniejsze słowo
ściera się w użyciu,
jak ubiór, co sparciał.
Chcę,
by zajaśniało na nowo
najdostojniejsze ze słów —
p a r t i a.
Jednostka!
co komu po niej?!
Jednostki głosik
cieńszy od pisku
Do kogo dojdzie? —
ledwie do żony!
I to,
jeżeli pochyli się blisko.
Partia —
to głosów
jeden poryw —
zbity z bezliku
cichych i cienkich,
pękają
od nich
wrogów zapory,
jak w huku armat
w uszach
bębenki.
Źle człowiekowi,
kiedy sam jest.
Biada samemu,
nic nie zwojuje —
byle dryblas
wpół go przełamie,
i nawet słabsi,
ale we dwoje.
A gdy się
w partię
zejdziemy w walce —
to padnij, wrogu,
leż i pamiętaj!
Partia —
to ręka milionopalca,
w jedną
miażdżącą pięść zaciśnięta.

Jednostka — zerem,
jednostka — bzdurą,
sama —
nie ruszy
pięciopalcowej kłody,
choćby
i wielką
była figurą,
a cóż dopiero podnieść
dom pięciopiętrowy.
Partia —
to barki
milionów ludzi
ciasno do siebie przypartych —
podźwigniem
gmachy,
do nieba podrzucim,
napiąwszy mięśnie i oddech
w partii.
Partia —
to stos pacierzowy klasy robotniczej.
Partia —
to nieśmiertelność naszej sprawy.
Partia —
to jedno,
co mnie nie zdradzi.
Dziś jam subiektem,
a jutro
ścieram cesarstwa z mapy.
Mózg klasy,
sprawa klasy,
siła klasy,
chluba klasy —
oto czym jest partia.
Partia i Lenin —
bliźnięta — bracia —
kogo bardziej
matka — historia ceni?
Mówimy — Lenin,
a w domyśle —
partia,
mówimy — partia,
a w domyśle —
Lenin.

przekład Adama Ważyka

SZYMON SZYMONOWICZ

Szymon Szymonowicz w swym życiu i twórczości zajmuje postawę zgodną z położeniem i interesami zamożnej części ówczesnego mieszczaństwa. Jest on przedstawicielem mieszczańskiego odłamu naszej literatury drugiej połowy 16 w. Obok Szymonowicza, do twórców tej literatury zaliczyć możemy takich równorzędnych mu pod każdym względem pisarzy jak: Klonowicz, Zimorowic czy Władysławiusz. Poezja Szymonowicza jest tylko dla nas bardziej przystępna i czytelna od twórczości współczesnych mu i dlatego cieszy się dużą popularnością.

*
* *

Jak przedstawia się tło gospodarczo-społeczne mieszczańskiej literatury tego okresu? Jakie było podłoże twórczości Szymonowicza? W drugiej połowie 16 w. szlachta poprzez specjalną politykę cen i ceł uniemożliwia miastom rozwój handlu, zaś w dziedzinie politycznej odsuwa mieszczan od udziału w obradach sejmu. W wyniku tego zaznacza się upadek miast, zubożenie całego mieszczaństwa a szczególnie mniej zamożnych warstw.

Ostro występuje konflikt pomiędzy szlachtą a całym mieszczaństwem. Nawet górne warstwy mieszczaństwa a tym samym i ich literatura występują przeciwko szlachcie. Na tych antyszlacheckich, antyfeudalnych akcentach opiera się postępowość mieszczańskiej literatury tego okresu.

Z drugiej strony zarysowuje się przeciwieństwo interesów między bogaczami miast, a biedotą miejską, która zaczyna występować przeciwko całemu porządkowi społecznemu. W obawie przed tą biedotą, bogate mieszczaństwo jest skłonne do pewnej ugody ze szlachtą. Tak, ogólnie rzecz biorąc, wyglądają przeciwieństwa ideologii i literatury bogatego mieszczaństwa, przeciwieństwa występujące również w twórczości Szymonowicza.

Szymon Szymonowicz był synem krawca — mieszczanina, lecz życie poważnie rozluźniło jego związki z własną klasą. Koleje losu Szymonowicza można nazwać „zawrotną karierą" mieszczańskiego syna. Poeta utrzymywał bliski kontakt z całym dworskim środowiskiem, otrzymał tytuł królewskiego poety, był wychowawcą syna kanclerza Zamoyskiego. Lecz mimo tych poważnych, praktycznych związków Szymonowicza ze szlachtą — twórczość poety jest w dużej mierze w swej wymowie antyszlachecka i antyfeudalna.

Szymonowicz, jak wielu ówczesnych pisarzy, tworzył po polsku i po łacinie. Sławę zyskały mu jednak pisane w języku ojczystym tzw. sielanki czyli obrazki z życia wiejskiego. Zawarty w nich obraz wsi, daleki jest już od obrazu wsi spokojnej, wsi wesołej poezji Kochanowskiego. W sielankach dochodzi do głosu okrutna prawda ówczesnego życia wiejskiego, prawda o krzywdzie i wyzysku chłopa pracującego „na pańskim".

Poeta sam przez długi czas przebywał na wsi i dlatego wiersze jego są w każdym szczególe, w każdym drobiazgu tak prawdziwe.

Drukowane poniżej fragmenty sielanki „Żeńcy" — to piosenka i rozmowa dwóch robotnic — pracujących pod surowym okiem starosty czyli ekonoma. Pietrucha, w piosence, przeciwstawia dobrodziejstwu słońca okrucieństwo starosty, pod koniec wypowiada pod jego adresem słowa obelgi: „Babę, boś tego godzien, babęć narajemy, Babę o czterech zębach".

Druga z dziewcząt, Oluchna opowiada koleżance o tym jak starosta katuje jedną z robotnic. A więc b. ostro przedprzedstawiony, przejmujący obraz wyzysku chłopa.
skrzywdzonymi i w ładnej formie poetyckiej wyraził swój protest, twórczość jego zaliczamy do pięknych, postępowych tradycji naszej narodowej literatury i kultury.





FRAGMENT Z SIELANKI „ŻEŃCY"

PIETRUCHA

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią;
A naszemu staroście nie patrz w oczy śmiele,
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele.
Ty rosę hojną dajesz po ranu wstawając
I drugą także dajesz wieczór zapadając;
U nas post do wieczora zawsze od zarania,
Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania.
Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,
Ni panienka, ni wdowa nie pójdzie za ciebie.
Wszędzie cię, bo nas bijasz, wszędzie osławiemy,
Babę, boś tego godzien, babęć narajemy,
Babę o czterech zębach. Miło będzie na cię
Patrzyć, gdy przy niej siędziesz jak w majestacie.
A ona cię nadobnie będzie całowała,
Jakoby cię też żaba chropawa lizała.

OLUCHNA

Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę,
Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone
Abo na grzbiet upstrzony za to winszowanie.
Słyszysz, jakie Maruszce tam daje śniadanie?
A słaba jest nieboga; dziś trzeci dzień wstała
Z choroby, a przedsię ją na żniwo wygnała
Niebaczna gospodyni. Tak ci służba umie!
Rzadko czeladnikowi kto dziś wyrozumie.
Patrz, jako ją katuje. Za głowę się jęła
Nieboga, przez łeb ją ciął, krwią się obliznęła.
Podobno mu coś rzekła; każdemu też rada
Domówi. Tak to bywa, gdy kto siła gada.
Dobrze mieć, jak mówią, język za zębami;
I my mu dajemy pokój, choć żartuje z nami,
Żart pański stoi za gniew i w gniew się obraca,
Ty go słówkiem, a on cię korbaczem namaca.

Tak ci służba umie! — Sens: Tak postępuje z wyrobnikami pańska służba (tj. gospodyni dworska i ekonom — starosta).
krwią się obliznęła — obluznęła, oblała.
domówi — przymówi, przypnie łatkę.
żart pański sto za gniew — tyle wart, co gniew.
korbacz — kij.
wiatry pogodne — pomyślne.
kozieł na czele — zmarszczone czoło.
po ranu — rano.
babęć narajemy — naraimy (wyswatamy) ci starą babę.
Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone — byłby cię pewno zbił do krwi (ażby krew spływała na nogi).
Maruszka to biedna komornica.

STANISŁAW DOBROWOLSKI

Sławię wolę

Nie wiem, co to być albo nie być,
od którego wam wola mięknie,
stoję twardo i biję się, żeby
tylko być — i być lepiej i piękniej!

Sławię słońce, człowieka i ziemię,
Wyzwolony z pęt sławię trud,
sławię wolność i dzieło człowiecze,
i ojczyznę, i ludzkość, i lud.

Sławię miasto moje rodzinne,
dla którego krew oddałbym z żył,
Wisłę sławię i sławię Warszawę
I Powiśle, gdziem kochał i żył.

Sławię Wolę warszawską, hardą,
jej kominów wesoły dym,
robociarską Wolę upartą
i Ochotę — i dobrze mi z tym!

Być... Być — to mój program i cel:
żyć szlachetnie i coraz wspanialej,
kiedy trudno — to brać na kieł
i wciąż dalej, i wciąż dalej!



KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

DYTYRAMB NA CZEŚĆ POKOJU

Toś ty słońce tchnął w lutnię mą,
że słońcem błyska i
Dzięki tobie spokojnie śpią
dzieci w kołyskach.

To w tobie w żyznym cieple
świat się zieleni.
Dzięki tobie kupują meble
narzeczeni.

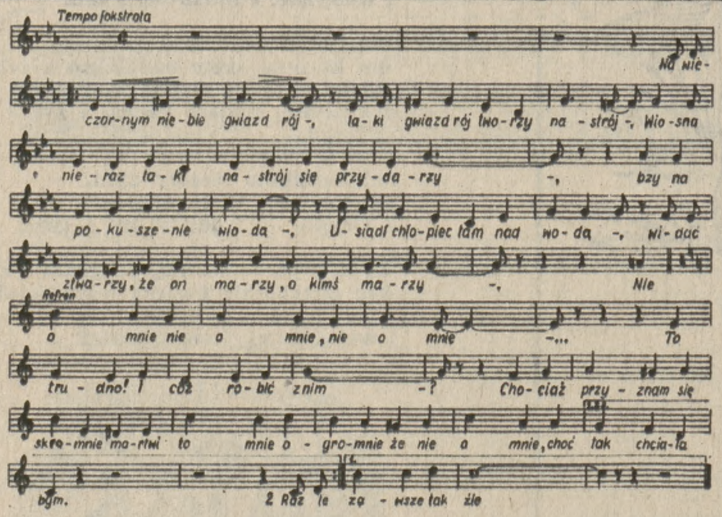
Dzięki tobie w seminariach
uczą się studenci wytrwali.
Dzięki tobie spokojnie na koźle
dorożkarz fajkę pali.

Dzięki tobie na kolanach babki
mruczy malutki kotek.
Szafarzu myśli pogodnych
jak kwiatki,
opiekunie bibliotek.

Nie trwóż się, twym oliwnym listkom
nic nie zrobią wrogowie.
Bo talent, praca i wszystko —
tobie.

Bo serca nasze mężne
i czujność w oku.
Śpiewam twe imię potężne:
POKÓJ.

nie o mnie



Raz leciała chmurka górą,
z dużą się spotkała chmurą.
Przyleciała jeszcze jedna chmurka płocha,
lunął deszczyk, drzewa mokną.
Stoi chłopiec, patrzy w okno,
no — i moknie, bardzo moknie, bo się kocha.
Nie we mnie, nie we mnie, nie we mnie...
To trudno! I cóż robić z nim?
Przyznam tu się tym nie mniej,
iż mi niezbyt przyjemnie,
że nie we mnie, choć tak chciałabym.

Wiatry melancholię niosą,
lecą liście ponad szosą,
słonko skąpi mi promieni na jesieni.
Jedzie, jedzie gości wiele
dziś do chłopca na wesele,
wszyscy bardzo ucieszeni, że się żeni.
Nie ze mną, nie ze mną, nie ze mną...
No trudno! I cóż robić z nim?
Gdzieś na stronie uronię
może łezkę daremną,
że nie ze mną, choć tak chciałabym.

Mróz od rana ściska srogo,
pewnie mróz wstał lewą nogą,
co się chłopcu też przydarza, jak wieść niesie.
Gdy żyletka kiepsko goli,
kiedy żonka coś przesoli,
to on ciska się i złości i „drze się".
Nie na mnie, nie na mnie, nie na mnie!
To dobrze, to lepiej że nie!
O — to jeśli w miłości
szczęścia czasem ma ktoś mniej,
to w efekcie nie zawsze tak źle.



ANTONI CZECHOW



Kiedy kelner wymienił mu te niezliczone dania, które można było dostać w traktierni, jegomość ów pomyślał chwilę i powiedział:

— W takim razie podaj nam dwie porcje kapuśniaku ze świeżej kapusty i kurczaka; zapytaj też gospodarza, czy nie ma tu u was czerwonego wina...

Następnie wszyscy widzieli, jak ów jegomość popatrzył na sufit i powiedział do kelnera:

— Zadziwiające, ile tu u was much!

Mówimy „ów jegomość", ponieważ ani kelnerzy, ani gospodarz, ani inni goście w traktierni nie wiedzieli, kto to taki, jakiego jest stanu, skąd i po co przyjechał do naszego miasta. Był to poważny pan w podeszłym wieku, ubrany porządnie i, jak się zdawało, prawomyślny. Sądząc z odzieży można go było uważać nawet za arystokratę. Zauważyliśmy u niego złoty zegarek i szpilkę z perłą, a w jego pilśniowym kapeluszu leżały rękawiczki z modnymi guziczkami, jakie widzieliśmy kiedyś u wicegubernatora. Podczas obiadu jegomość ów starał się przez cały czas olśnić nas swoim dobrym wychowaniem: trzymał widelec w lewej ręce, wycierał usta serwetką i krzywił się, kiedy do kieliszka wpadały muchy. Każdy wie, że tam, gdzie są muchy, naczynia nie mogą być czyste; nie mówiąc już o zwyczajnych gościach, nawet takie osoby, jak komisarz, przodownik i bawiący przejazdem ziemianie, jedząc obiad w traktierni nigdy nie zgłaszają skarg, gdy im podadzą talerz albo kieliszek popstrzony przez muchy, ten zaś osobnik nie chciał zacząć jeść, dopóki kelner nie wymył talerza gorącą wodą. Prawdopodobnie stawiał się i chciał wydać się kimś ważniejszym, niż był w rzeczywistości.

Kiedy podaliśmy mu kapuśniak, do stołu jego podszedł jeszcze jeden, również nieznany nam osobnik, łysy, ogolony i w złotych okularach. Ten nowy jegomość nosił garnitur z czesuczy i także miał złoty zegarek. Mówił cały czas po francusku, z ciekawością przyglądał się potrawom i gościom, tak, że nietrudno było w nim poznać cudzoziemca. Kto to był i po co zjechał do naszego miasta — tegośmy także nie wiedzieli.

Przełknąwszy pierwszą łyżkę kapuśniaku ów jegomość, to znaczy ten, który miał szpilkę z perłą, pokręcił głową i powiedział drwiącym tonem:

— Ci durnie potrafią nawet świeżej kapuście nadać stęchły zapach. Nie można tego jeść. Słuchaj no, mój łaskawco, czy tu u was wszyscy żyją jak świnie? W całym mieście nie można dostać porcji jako tako znośnego kapuśniaku. Zadziwiające!

Następnie zaczął mówić coś po francusku do swego towarzysza — cudzoziemca. Z całej jego przemowy pamiętamy tylko jedno słowo „koszon".[1] Wyłowiwszy z zupy prusaka jegomość ów zwrócił się do kelnera i powiedział:

— Zamawiałem kapuśniak z mięsem, a nie z prusakami, bałwanie.

— Jaśnie panie — odpowiedział kelner — przecież to nie ja go do kapuśniaku włożyłem, tylko on sam tam wlazł. Niech się pan zresztą z łaski swojej nie obawia: karaluchy nie gryzą.

Po kurczaku zażądał arkusza papieru i ołówka i zaczął rysować jakieś koła oraz pisać cyfry. Cudzoziemiec nie zgadzał się z nim i długo się sprzeczał kręcąc głową na dowód, że się nie zgadza. Arkusz upstrzony kółkami i cyframi znajduje się dotychczas na przechowaniu u gospodarza traktierni; powiatowy inspektor szkolny, któremu gospodarz pokazywał ten arkusz, długo patrzył na kółka, potem westchnął i powiedział: „Egipskie ciemności!..." Płacąc za obiad jegomość ów, to znaczy ten, który miał perłę w krawacie, dał kelnerowi nowy banknot pięciorublowy. Czy banknot był prawdziwy, czy też fałszywy, nie udało się nam ustalić, ponieważ nie połapaliśmy się, że trzeba mu się było przyjrzeć.

— Słuchaj no, o której otwieracie rano gospodę? — zapytał ów jegomość kelnera.

— Skoro świt.

— Doskonale. Jutro o piątej przyjdziemy tu na herbatę. Przygotuj śniadanie, tylko bez much. A czy ty wiesz, co zdarzy się jutro rano? — zapytał, chytrze mrugnąwszy okiem.

— Otóż jutro z rana będziecie wszyscy zadziwieni i oszołomieni.

Rzuciwszy tę groźbę, powiedział coś ze śmiechem do cudzoziemca i razem z nim wyszedł z gospody. Nocowali obaj u Marfy Jegorowny, samotnej, cnotliwej wdowy, która nie ponosi żadnej winy i nie mogła być ich wspólniczką.

Teraz Marfa Jegorowna płacze bez przerwy, obawiając się, że ją aresztują. Znając jej poglądy zaświadczamy niniejszym, że ona jest niewinna. Prócz tego, prosimy wziąć pod uwagę, czy Marfa mogła przyjmując gości na nocleg wiedzieć cośkolwiek o ich zamiarach. Następnego dnia, punktualnie o godzinie piątej rano, nieznajomi byli już w traktierni. Tym razem zjawili się z teczkami, książkami i jakimiś futerałami dziwnego kształtu. Ich mowa i ruchy zdradzały zdenerwowanie i pośpiech. Ów jegomość, to znaczy nie ten cudzoziemiec, tylko ten drugi, powiedział:

— Z północnego zachodu nadciąga chmura. Żeby tylko nam nie przeszkodziła.

Wypił szklankę herbaty, wezwał gospodarza i kazał mu ustawić na placu przed gospodą stół i dwa krzesła. Gospodarz, człowiek niewykształcony, wypełnił zlecenie, chociaż przeczuwał coś złego. Nieznajomi zabrali swoje rzeczy, wyszli z gospody i usiedli na krzesłach przy stole. Rozsiąść się pośrodku placu na oczach wszystkich ludzi — jakie to głupie! Rozprawiając o czymś rozłożyli na stole papiery, wykresy, czarne szkła i jakieś rurki. Kiedy gospodarz nieśmiało podszedł do nich i pochylił się nad stołem, ów jegomość, to jest ten ze szpilką, odsunął go ręką i powiedział:

— Nie pchaj swojego grubego nosa, gdzie nie trzeba.

Następnie popatrzył na zegarek, powiedział coś do cudzoziemca i zaczął patrzeć przez ciemne szkło na słońce.

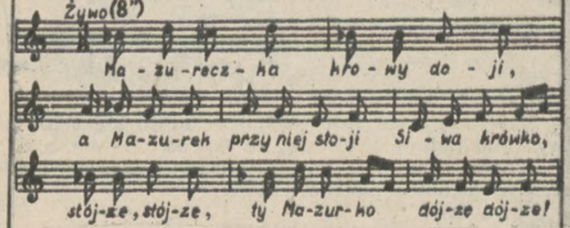
d. c. na str. 18



[1] Le cochon — po francusku świnia.

PIOSENKI

MAZURECZKA KROWY DOJI



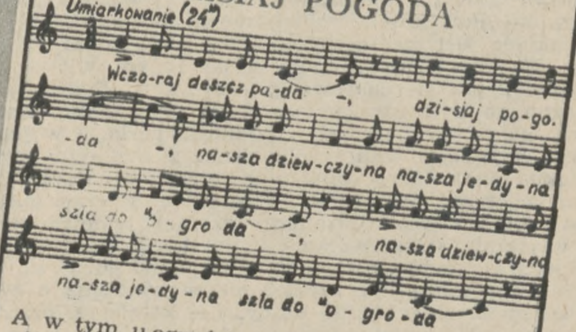
Mazureczka krowy doji
a Mazurek przy niej stoji.
Siwa krówko, stójże, stójże,
ty, Mazurko, dójże, dójże!

Nadojiła mlika skopek,
aż się jej raduje chłopek.
Krowa nóżką potrąciła,
skopek mlika wywróciła.

Bodaj ciebie wilcy zjedli,
z czem my będziem kluski jedli?
a bodaj cię rozerwali,
czem by będziem zaliwali?



WCZORAJ DESZCZ PADA, DZISIAJ POGODA

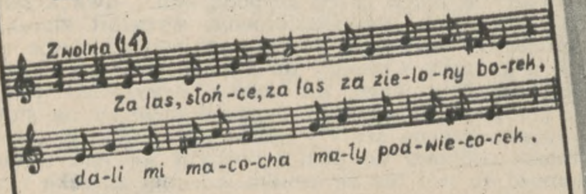


A w tym u ogrodzie
róża lelija,
nasza dziewczyna
nasza jedyna
wianka dowija.

Wianka dowija,
ale nie sama,
bo wkoło siebie,
bo wkoło siebie,
pięknych chłopców ma.

Chłopcy, wy chłopcy,
kawalerowie,
wzięliście wianek,
wzięliście wianek,
nie mam na głowie,

ZA LAS, SŁOŃCE, ZA LAS

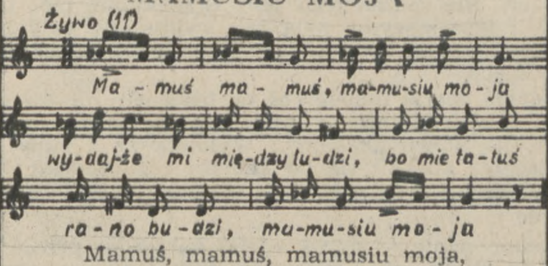


Dali mi go, dali
jak lipowy listek,
jesce się pytali,
cym go zjadła wsystek.

Jagześ go nie zjadła,
połóż go na stole,
to ci drugim razem
jesce mniej ukroje.

Zjadłam ja go, zjadłam
w komorze za drzwiami,
jak se o nim wspomne,
zaleje się łzami.

MAMUŚ, MAMUŚ, MAMUSIU MOJA



Mamuś, mamuś, mamusiu moja,
wydajże mie między ludzi,
bo mie tatuś rano budzi,
mamusiu moja.

Córuś, córuś, córusiu moja,
jeszcześ młoda jak jagoda,
ciebie za mąż jeszcze szkoda,
córusiu moja.

Mamuś, mamuś, mamusiu moja,
chociem młoda jak jagoda,
ja se chłopca upodobam,
mamusiu moja.



FRANCISZKA ZOZULA



OBEREK

(układ tańca)

W podanym układzie bierze udział 8 par. Układ ten może być wykorzystany zarówno przez zespół mały jak i większy. Przy niewielkich zmianach może być tańczony przez 4, jak i przez 12 czy nawet 16 par.

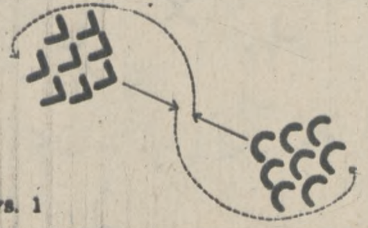
W układzie wykorzystano elementy podane i dokładnie opisane w Nr 3/1956 r. naszego pisma.

Przed rozpoczęciem tańca chłopcy i dziewczęta stoją za kulisami w dwóch oddzielnych grupach — chłopcy na przedzie z prawej strony, dziewczęta zaś w tyle z lewej strony sceny.*)

FIGURA 1.

Wyjście dziewcząt i chłopców na scenę.

Takt 1 — 4: z za kulis wybiegają jednocześnie na scenę w dwóch grupach chłopcy i dziewczęta. Dziewczęta z tylnego lewego rogu sceny „krokiem 1", a chłopcy z przedniego prawego rogu sceny — „krokiem 2 — skróconym". (rys. 1).



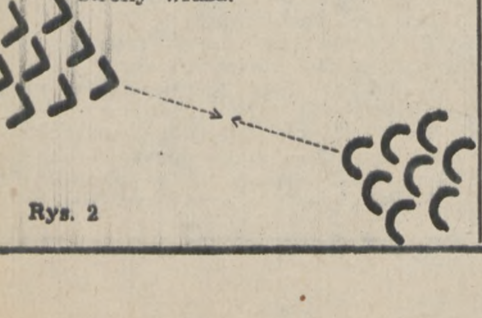
Rys. 1

Obie grupy biegną po przekątnej i w takcie 4 spotykają się na środku sceny. Chłopcy przytupują 3 razy zapraszając w ten sposób dziewczęta do oberka. Dziewczęta odpowiadają również trzykrotnym przytupnięciem.

Takt 5 — 8: Dziewczęta niespodziewanie omijają z prawej strony chłopców i biegną „krokiem 2" do prawego przedniego rogu sceny. Chłopcy, widząc to, również omijają dziewczęta i biegną do lewego tylnego rogu sceny. (linia przerywana na rys. 1). Na takt 8 dziewczęta i chłopcy zwracają się do siebie twarzami i trzy razy przytupują.

Takt 9 — 12: Dziewczęta z pierwszego przedniego, a chłopcy z lewego tylnego rogu sceny znowu podbiegają do siebie. Chłopcy — krokiem oberkowym z podskokiem, dziewczęta zaś „krokiem 2 — skocznym" (rys. 2).

*) Prawa i lewa strona sceny pomyślana jest w całym opisie od strony widza.

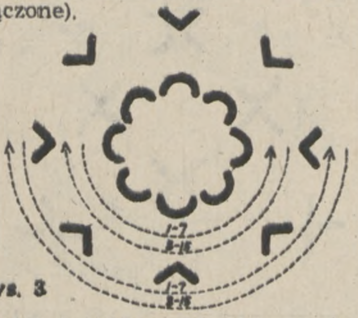


Rys. 2

Takt 13 — 16: Dziewczęta tworzą w środku zwartą grupkę. Dumne i wyprostowane okręcają się dokoła swej osi w prawo. Ręce wyciągnięte w górę. Chłopcy w tym czasie otaczają dziewczęta i na takt 16, na zakończenie frazy muzycznej, 2 razy przytupują. Dziewczęta tworzą koło — twarzami do chłopców, plecami do środka koła.

FIGURA 2.

Takt 1 — 7: Dziewczęta, kładąc ręce na biodra, tańczą wesoło „krokiem 1" w lewo, tzn. w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówki zegara. Tułów wyprostowany, głowa zwrócona w lewo. Biegnąc, zalotnie spoglądając na chłopców. W tym czasie chłopcy tańczą dookoła dziewcząt w dużym kole w lewo „krokiem 2". Plecami zwróceni do publiczności, twarzą do dziewcząt (rys. 3). Ręce szeroko odchylone w bok (nie połączone).



Rys. 3

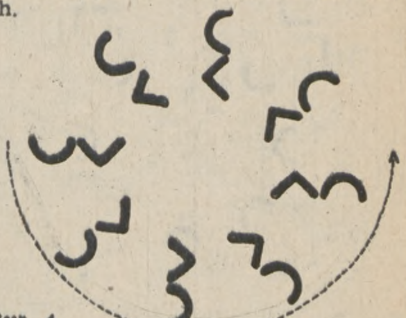
Takt 8: Chłopcy i dziewczęta zatrzymują się przytupując w miejscu trzy razy.

Takt 9 — 15. Dziewczęta, trzymając w dalszym ciągu ręce na biodrach, biegną „krokiem 1" w prawo (kierunek zgodny z ruchem wskazówki zegara). Tułów w dalszym ciągu wyprostowany, głowa zwrócona w prawo. Chłopcy w tym czasie tańczą niskiego siarczystego oberka na mocno zgiętych kolanach również w prawo (przeciwnie ruchowi wskazówki zegara). Tułów i głowa lekko pochylone i zwrócone w prawo.

Takt: 16: Chłopcy energicznie chwytają swoje dziewczęta prawą ręką w pół i wykonują razem z dziewczętami pół obrotu. W ten sposób chłopcy znajdą się wewnątrz, dziewczęta na zewnątrz koła.

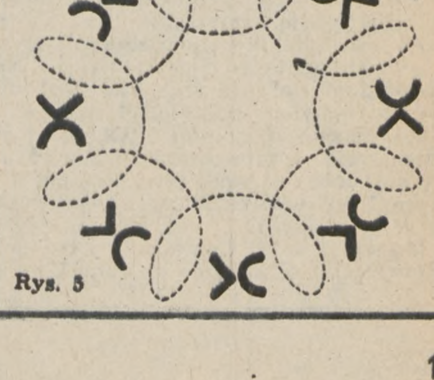
FIRUGA 3.

Takt 1 — 8: Pary tworząc duże koło posuwają się po okręgu koła (w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówki zegara) „od sie do sie". Rozpoczynają na takt 1 nogami zewnętrznymi odwracając się od siebie, na takt 2 rozpoczynając nogami wewnętrznymi zwracając się do siebie. I tak powtarzają cztery razy (rys. 4). Tułów wyprostowany, ręce zewnętrzne na biodrach.



Rys. 4

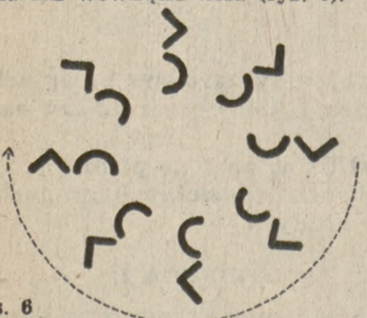
Takt 9 — 16: Chłopak obejmuje dziewczynę w pasie — ona zaś okrągłym ruchem kładzie ręce na ramionach chłopca (rys. 5). Pary tańczą oberka w kole, chłopak „krokiem 2", dziewczyna zaś „krokiem 1". Chłopcy i dziewczęta przechylają tułów raz w prawo, raz w lewo, albo też chłopak w prawo a dziewczyna w lewo. W pierwszym wypadku partnerzy są w pozycji contra tzn. odwracają się w różne strony, w drugim zaś wypadku partnerzy przechylają się w jedną stronę (rys. 5).



Rys. 5

FIGURA 4.

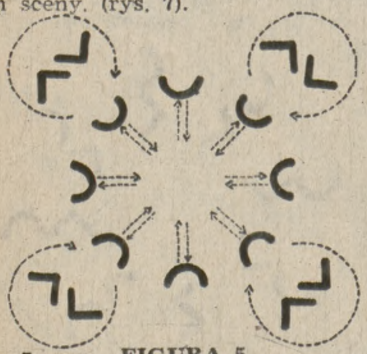
Takt 1 — 8: Chłopak znowu obejmuje dziewczynę prawą ręką, ona zaś lewą rękę kładzie chłopakowi na ramiona, ręce zewnętrzne łączą na przodzie. Pary tańczą z zupełnym pochyleniem, wykonując drugą odmianę kroku skocznego (patrz „Pracujemy w świetlicy" Nr 3). Tańczą po okręgu koła zgodnie z ruchem wskazówki zegara tzn. że chłopak jest nazewnątrz, dziewczyna zaś wewnątrz koła (rys. 6).



Rys. 6

Takt 9 — 14: Pary tańczą oberka po okręgu koła jak na takt 9 — 16 poprzedniej figury.

Takt 15 — 16: Tańcząc w dalszym ciągu oberka pary rozłączają się, dziewczęta biegną do środka „krokiem 1" chłopcy zaś stają dwójkami po rogach sceny. (rys. 7).



Rys. 7

FIGURA 5

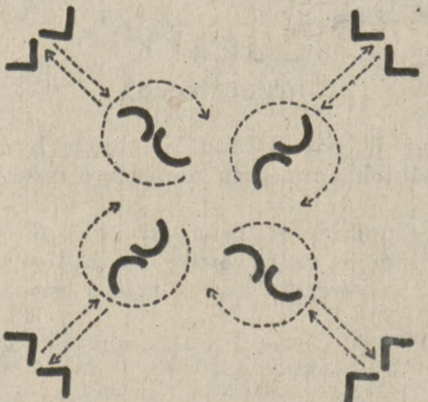
Dziewczęta tańczą w kole wewnętrznym — chłopcy zaś stojąc po rogach „zahaczają się" prawymi rękami.

Takt 1 — 2: Dziewczęta trzymając się za ręce opuszczone (głowa i tułów zlekka pochylone) idą „krokiem 1" do środka koła. Ręce i głowa w czasie taktu 1 — 2 stopniowo się unoszą, tułów zaś wyprostowuje. Na zakończenie taktu 2 ręce i głowa zupełnie uniesione, tułów zaś wyprostowany. W tym czasie chłopcy stojący po rogach „zahaczeni" prawymi rękami obracają się dookoła swej osi „krokiem 1" na zgiętych kolanach. Tułów odchylony, głowy zwrócone do siebie. Ręce na biodrach.

Takt 3 — 4: Dziewczęta „krokiem 1" cofają się, rozsuwają koło przy czym ręce stopniowo spuszczają. Głowa i tułów stopniowo pochylają się. Na zakończenie taktu 4 ręce (złączone) zupełnie odchylone do tyłu, głowa zaś i tułów mocno pochylone. Chłopcy w tym czasie wyprostowują się i obracają się dookoła swej osi „krokiem 2". Ręce lewe wyprostowane, wyrzucone w górę w skos.

Takt 5 — 8: Dziewczęta i chłopcy powtarzają to samo co na takt 1 — 4.

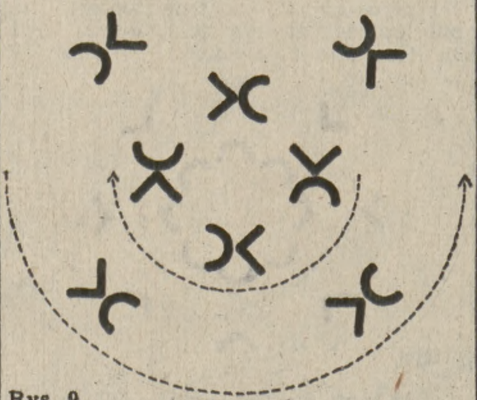
Takt 9 — 14: Dziewczęta „rozrywają" koło i zahaczają się po dwie prawymi rękami. Wykonują to samo co chłopcy na takt 1 — 4. Chłopcy zaś podają sobie ręce po rogach (dwójkami), stają twarzami do środka i wykonują to samo co dziewczęta na takt 1 — 4, z tą tylko różnicą, że nie w zamkniętym kole, a dwójkami (rys. 8).



Rys. 8

Takt 15: Każdy chłopak obejmuje swoją dziewczynę prawą ręką, trzema krokami okręca się z nią. Pary parzyste okręcają się w miejscu, tzn. w małym kole, pary nieparzyste, wykonując obrót trzema krokami, wychodzą na zewnątrz do koła zewnętrznego.

Takt 16: Chłopak wykonuje dwa przytupnięcia na zgiętych kolanach, przy czym obiema rękami obejmuje dziewczynę w pasie, ona okrągłym ruchem kładzie ręce na ramionach chłopca. W ten sposób tworzą się 2 koła (rys. 9).



Rys. 9

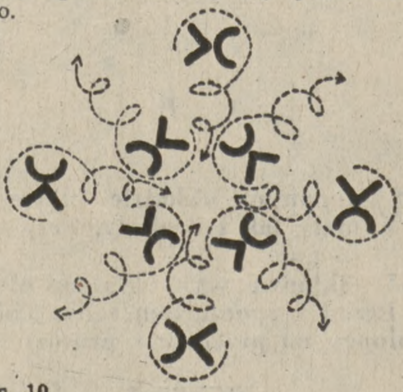
FIGURA 6.

Takt 1—4: 4 pary parzyste w kole wewnętrznym idą naprzód po okręgu koła zgodnie z ruchem wskazówki zegara. Chłopak idzie naprzód „krokiem 2", dziewczyna zaś cofa się „krokiem 1". Tułów wyprostowany, głowa uniesiona. Pary nieparzyste w kole zewnętrznym idą tak samo jak pary parzyste, ale w kierunku przeciwnym, tzn. w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówki zegara.

Takt 5—8: Pary parzyste z koła wewnętrznego „krokiem 2" w obrotach przechodzą na miejsce par nieparzystych do koła zewnętrznego, a pary nieparzyste tymże krokiem wchodzą do koła wewnętrznego (rys. 10).

Takt 9—12: = taktowi 1—4.

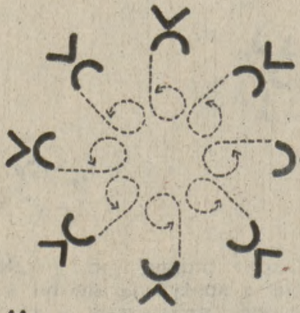
Takt 13—16: Pary parzyste w kole zewnętrznym wirują zgodnie z ruchem wskazówki zegara, pary nieparzyste z koła wewnętrznego okręcając się wchodzą do koła zewnętrznego. W ten sposób tworzy się jedno duże koło.



Rys. 10

FIGURA 7.

Takt 1—4: Pary w dużym kole wykonują „krok 1" w obrocie. Chłopak w obrocie cofa się, dziewczyna zaś idzie naprzód. Ręce zewnętrzne złączone. Chłopak wykonuje ten krok na zgiętych kolanach, dziewczyna ma tułów wyprostowany. Twarzami zwróceni do siebie.



Rys. 11

Takt 5—8: Chłopak pozostaje w dużym kole i zwróciwszy się twarzą do środka wykonuje klęki z klaskaniem w dłonie.

Takt 5: Klęk na prawe kolano z jednoczesnym klaśnięciem w dłonie (na „raz").

Takt 6. Klęk na lewe kolano z jednoczesnym klaśnięciem w dłonie.

Takt 7: Powtórzmy klęk na prawe kolano z klaśnięciem w dłonie.

Takt 8: Chłopak podrywa się z klęku i wykonuje akcentowany skok na obie nogi. Przy tym na „raz" klaszcze w dłonie, odchylając ręce szeroko w bok.

W tym czasie dziewczęta zwróciwszy się twarzami do chłopców, jak gdyby uciekały od chłopców (rys. 11).

Takt 5—6: Dziewczęta cofają się „krokiem 1", tworząc w ten sposób mniejsze kółka. Głowa dumnie uniesiona, ręce na biodrach.

Takt 7: Dziewczęta unoszą ręce w górę w skos i okręcają się.

Takt 8: Trzy przytupnięcia, ręce na biodrach.

Takt 9—12: Chłopak energicznie obejmuje dziewczynę prawą ręką i okręca się z nią tak jak w takcie 1—4.

Takt 13—16: = taktowi 5—8.



„RIO ESCONDIDO"

„Rio Escondido" — film produkcji meksykańskiej. Scenariusz i reżyseria: Emilio Fernandez. Zdjęcia: Gabriel Figurca. W rolach głównych: Maria Felix, Carlos Lopez Moctezúma, Fernando Fernandez i inni. Produkcja: Raul de Anda. Opracowanie i rozpowszechnienie: Centrala Wynajmu Filmów.

*

Film „Rio Escondido", który w najbliższym okresie ujrzymy na ekranach stałych i objazdowych kin wiejskich, przenosi nas do dalekiego egzotycznego kraju — do Meksyku.

Kraj ten, położony w południowej części Ameryki Północnej, obfituje w ogromne złoża złota, srebra, nafty i innych bezcennych skarbów. Ale od wielu wieków skarby te stanowiły źródło fantastycznych dochodów dla amerykańskich i angielskich kapitalistów, którzy, niczym pijawki, usadowili się w Meksyku i żyli kosztem nadludzkiego trudu i pracy miejscowej ludności.

Jeszcze dziś panoszy się w Meksyku kapitał amerykański, rujnujący bezlitośnie gospodarkę kraju i skazujący Meksykańczyków na nędzę, ciemnotę i poniżenie.

W tych warunkach wszelka walka o postęp jest w Meksyku bardzo trudna i wymaga naprawdę wielkiego samozaparcia i poświęcenia.

Jednym z bohaterów tej trudnej i nierównej walki jest nauczycielka Rozaura z filmu „Rio Escondido".

Ta młoda, nieuleczalnie chora na serce dziewczyna odważnie staje do walki o lepszą przyszłość swej ojczyzny, o jaśniejsze jutro jej obywateli. Pomimo śmiertelnej choroby udaje się do odległej, zapadłej, cieszącej się złą sławą wioski Rio Escondido, aby tam pracować w swoim zawodzie.

Zadanie to przerasta siły jednego człowieka. Rio Escondido jest opanowane przez brutalnego złoczyńcę don Regino, który traktuje indiańską ludność jak niewolników i rządzi nią przy pomocy bata i rewolweru.

Nauczycielka Rozaura odważnie stawia czoło bandyckiemu don Regino i nie daje mu się ani nastraszyć, ani przekupić. Pomimo jego sprzeciwów uruchamia szkołę i rozpoczyna normalną naukę.

Uczy dzieci nie tylko czytać, pisać i rachować, ale wpaja w nie miłość i przywiązanie do ojczyzny, sprawiedliwości i wolności.

Dzięki swej odwadze, nieustępliwości i prostocie podbija serca nie tylko dzieci, ale i dorosłych mieszkańców Rio Escondido. Sympatia i przywiązanie do Rozaury wzrastają jeszcze bardziej, kiedy przy pomocy młodego lekarza z sąsiedzkiej wsi udaje się jej opanować groźną epidemię ospy.

Tymczasem okrutny don Regino, rozwścieczony osiągnięciami dziewczyny, szaleje coraz bardziej i aby utrzymać pod terrorem mieszkańców wsi nie cofa się nawet przed zbrodnią, popełnioną na niewinnym dziecku. Wreszcie napada na nauczycielkę — ginie od strzałów oddanych przez nią w obronie własnej.

Rio Escondido zostaje wyzwolone od mordercy i tyrana, ale jego wybawczyni ulega ciężkiemu atakowi serca i po krótkiej chorobie umiera.

Filmu „Rio Escondido" nie podobna oglądać bez głębokiego i prawdziwego wzruszenia. Każdy z nas jest całym sercem z tymi oddalonymi od nas o tysiące kilometrów, uciskanymi, gnębionymi, poniewieranymi Meksykańczykami, którzy pod przewodem młodej, skromnej i niepozornej, ale silnej i bohaterskiej nauczycielki walczą o prawo do życia, o prawo do szczęścia.

I chociaż film kończy się tragicznie, chociaż nauczycielka umiera, jesteśmy przekonani, wiemy napewno, że sprawa, za którą zginęła — jest nieśmiertelna, że sprawa ta — zwycięży...

TOM



REFLEKTOREM

PO HUFCACH LPŻ

WIĘCEJ TAKICH HUFCÓW!

Hufiec LPŻ w Książkach, powiat Wąbrzeźno należy do dobrze pracujących hufców w woj. Bydgoskim. Przereorganizowany z byłego hufca „SP"nie tylko nic nie uronił z jego dorobku, ale wzbogacił o cały szereg nowych i atrakcyjnych form pracy.

Frekwencja na zajęciach jest zawsze niemal stuprocentowa. Instruktor ob. Franciszek Olejniczak potrafi tak zainteresować wykładem młodzież i starsze społeczeństwo, że nieraz trudno ich wyprosić ze świetlicy. Ostatni wykład o historii lotnictwa zgromadził w świetlicy około 90 mieszkańców gromady.



Na wykładach często spotyka się przewodniczącego GRN ob. Andrzeja Kulasa, sekretarza POP, przewodniczącego ZMP, którzy żywo interesują się pracą hufca. Osiągnięcia LPŻ-owców z Książek są niemałą zasługą komendanta hufca kol. Stanisława Kaszyca, który dobrze potrafi zorganizować pracę. Życzymy mu jeszcze lepszych wyników.

CENNA INICJATYWA...

Musimy zastanowić się nad nowymi formami pracy - powiedział Bronisław Kliś, komendant hufca LPŻ w Bystrej Górnej, pow. Bielsko, podczas reorganizacji hufca... Zaproponował on stworzenie zespołu artystycznego, którego członkowie wyjeżdżaliby do pobliskich gromad ze specjalnym programem, aby popularyzować dorobek LPŻ. Wniosek został przyjęty przez członków jednogłośnie i w tej chwili jest w trakcie realizacji.



Z inicjatywy kol. Klisia przy hufcu powstało także kółko strzeleckie. Zajęcia prowadzone są systematycznie i bardzo ciekawie. W kółku stale zwiększa się ilość nowych członków. Na razie zdobywają oni normy na odznakę SPO, a później zamierzają zorganizować klub lub sekcję strzelecką.

Warto brać przykład z hufca LPŻ w Bystrej Górnej!

CO SŁYCHAĆ W TORUNIU?

Z 19 hufców LPŻ w powiecie toruńskim najlepiej pracuje hufiec w Rozgartach. Pracą hufca kieruje młody i energiczny komendant, Czesław Górka. Pomimo, że praca w hufcu zajmuje mu wiele czasu, nie odbija się to ujemnie na jego nauce. (Górka jest uczniem Technikum Chemicznego w Toruniu). Potrafi łączyć naukę z pracą społeczną w hufcu.



Członkowie hufca niezależnie od udziału w szkoleniu strzeleckim, zajmują się także konkursem czytelniczym, w którym bierze udział ponad 50% stanu hufca. Gorącym zwolennikiem i propagatorem konkursu jest sam Górka. Nierzadko można go spotkać w gromadzkiej świetlicy z książkami. Książka jest — mówi — bardzo miłym i przyjemnym wypoczynkiem po nauce i pracy.

UDANA IMPREZA...

Najbardziej udaną masową imprezą LPŻ w woj. stalinogrodzkim była koncentracja hufca LPŻ, w Świerklanach pow. Rybnik.



Wzięło w niej udział ponad 150 osób. Największe zainteresowanie wzbudziły zajęcia TOPL i szkolenie sanitarne. Komendant hufca kol. Zygmunt Kopiec, uczynił wszystko, aby impreza się udała. I udała się.. Należą mu się słowa pełne uznania.



(Na podstawie powieści M. Baranowicza opracował Ler)

O S O B Y

TWARDOKĘS — agronom
MEYSZTOR — rządca poniemieckiego majątku
MEYSZTOROWA — jego żona
KALINKIEWICZ — komisarz powiatowy ziemski
WYKROTA — komisarz wyjewódzki ziemski
PAZERA
CHAŁADUS
ŚMIGLEWICZ — Osadnicy
ŚMIGLEWICZOWA
LENORKA

PENDZIALEK — autochton, kułak
KLARA — autochtonka, wyrobnica
URZĘDNICZKA
Pozatem chłopi i chłopki.

Rzecz dzieje się w okresie **osiedlania** *Ziem Zachodnich, w Skaręgach, na Śląsku. Junkierski majątek w Skaręgach jest dotychczas nierozparcelowany. Tymczasowo rządzi nim dawny obszarnik — Meysztor. Otrzymuje on wiadomość, że majątek ulegnie parcelacji, a ziemię otrzymają nowi osadnicy, którzy właśnie przyjadą.*

PROLOG

(W chwili podniesienia kurtyny scena przedstawia pokój Meysztora. Pokój znajduje się w dawnym zamku. Jest wysoki, ma duże ostrołukowe okna. Urządzony jest bogato, ale bez gustu. Po środku znajduje się owalny stół i krzesła, po bokach znajdują się: kredens, mały stół, gablotka. Na ścianach wiszą rogi. Po lewej i po prawej stronie sceny znajdują się drzwi, okno znajduje się na wprost sceny. W chwili podniesienia kurtyny na scenie znajduje się Klara, która sprząta, nucąc półgłosem. Po chwili wchodzi Meysztorowa).

MEYSZTOROWA: Woda wre w garnkach. Trzeba zestawić, bo się pranie przypali.

KLARA: Już idę *(bierze szczotki i ścierki, którymi sprzątała i wychodzi. (Meysztorowa poprawia kwiaty, stojące w wazonie na stole. Po chwili zza sceny słychać ciężkie, męskie kroki i na scenę wchodzi Meysztor. Jest on w wysokich, zabłoconych butach, kurtce i bryczesach. W ręku trzyma kopertę).*

MEYSZTOROWA: O, dobrze, że już przyszedłeś. Zaraz podam obiad, tylko ziemniaki dojdą pod pokrywką. A co to za list?

MEYSZTOR: Urzędowy.

MEYSZTOROWA *(z obawą):* Coś złego?

MEYSZTOR: Z PUR-u. Zawiadamiają o parcelacji i o skierowaniu osadników do Skaręg. Chłopi z Uszwian...

MEYSZTOROWA: Z naszych stron.

MEYSZTOR: Właśnie. Wloką się za mną jak cienie. Nie dość, że mi wydarli ojcowiznę, jeszcze i tu mi będą deptać po piętach.

MEYSZTOROWA: Że też ich właśnie tu przysyłają. Jakby mało było miejsca gdzie indziej...

MEYSZTOR *(z gniewem):* Nie masz pojęcia, jak mnie to wszystko już męczy. Ta ciągła niepewność, to poprzestawanie na bądź czym... *(Po chwili):* Wiesz, żeby nie ty, skoczyłbym wówczas, gdy się chamstwo zwaliło na dwór i rozpołowiłbym głowy siekierą. Bez względu na to, co by się stało potem... *(w tej chwili na scenę wchodzi Klara i nakrywa do stołu. Meysztorowie siadają przy stole. Oboje są przygnębieni. Klara wychodzi i za chwilę wraca, niosąc dymiącą wazę. Stawia ją na stole i wychodzi. Meysztorowie chwilę jeszcze siedzą bez ruchu, a następnie Meysztorowa nalewa do talerzy zupę).*

Kurtyna.

AKT I

Odsłona I

(Scena przedstawia typowy pokój biurowy. W chwili podniesienia kurtyny jest on jeszcze pusty, ale zaraz potem słychać zza sceny liczne, mocne kroki i na scenę wchodzi Twardokęs z osadnikami: Śmiglewiczem, Pazerą i Chaładusem).

ŚMIGLEWICZ *(rozglądając się ciekawie wokół):* Gdzież ten pan rządca?

TWARDOKĘS: Zaraz przyjdzie. Ranne z was ptaszki.

ŚMIGLEWICZ: Wypróżnowaliśmy się w wagonach. *(Podchodzi do okna i wygląda przez nie).* Ładnie tu...

PAZERA: Ziemia tłusta, jak omasta. Ale kwatery...

ŚMIGLEWICZ *(ostro):* Z dziadowiznyście przyszli, a grymasów u was, jak u baby.

(W tej chwili za sceną słychać kroki, a tuż potem na scenę wchodzi Meysztor. Jest starannie ubrany, świeży).

MEYSZTOR *(przystaje na chwilę w progu).*

ŚMIGLEWICZ: Uszanowanie panu rządcy.

MEYSZTOR *(idąc już w stronę biurka):* Dzień dobry. *(Siada przy biurku i w milczeniu przygląda się kłaniającym się osadnikom. Po chwili gestem wskazuje im krzesła, na których z wahaniem siadają).*

ŚMIGLEWICZ: Jesteśmy z wagonów. Delegaci osadników.

MEYSZTOR *(wyciąga z kieszeni papierośnicę i częstuje wszystkich papierosami).*

ŚMIGLEWICZ *(podaje Meysztorowi ogień).*

MEYSZTOR *(powoli):* To cóż? Będziemy gospodarować?

CHAŁADUS *(statecznie):* Kiej tak wypadło...

MEYSZTOR: Ziemia piękna. Obrodzi, gdy jej pochlebić.

PAZERA: Podmaścimy. Dość my się bez niej nabiedowali.

ŚMIGLEWICZ: Jakże z działami?

MEYSZTOR: Przyjedzie komisarz Kalinkiewicz z powiatu, to wymierzy...

PAZERA: Byle jeno nie marudził... A mieszkania?

MEYSZTOR: Z tym gorzej. Sprowadzicie się chyba do zamku. Na razie. Dopóki załoga nie wyprowadzi się z czworaka.

TWARDOKĘS *(protestując):* Przecież zamek jest zrujnowany. Jedyne całe izby pan zajmuje, panie rządco.

MEYSZTOR: No więc co innego zrobić? Ludzie — nie przesyłka. Nie można ich zwalić na kupę, do magazynu. O tym PUR nie pomyślał. Przysłał papierek, wy się martwcie... Inaczej się nie da, jeno do zamku. Obszerny. Pułap trzyma się jeszcze dobrze. Wespnie się paru na krokwie, wyrówna na łatach dachówkę, to i zaciekać nie będzie...

CHAŁADUS: Byle się ino przyrazić. Byle na początek okraw dachu nad głową.

PAZERA: W ruinach się gnieździć będziemy jak sowy.

TWARDOKĘS: Dwie rodziny można by umieścić w gajówce. Wolna. Okna zabite deskami, ale izby obszerne. Są też piece i podłogi.

ŚMIGLEWICZ *(pośpiesznie):* Wzięlibyśmy izbę razem. Z żoną i pasierbicą...

MEYSZTOR: To już się sami godźcie.

TWARDOKĘS: Parę domów we wsi też stoi pustką.

MEYSZTOR: To już trzeba z sołtysem pogadać.

TWARDOKĘS *(do osadników):* Macie konie w wagonach?

CHAŁADUS: Jest pięć. Kuce, bo kuce, ale robotne.

TWARDOKĘS: Robotność grunt! Dacie radę zwieźć się sami?

PAZERA *(z ironią)*: Na takie „dobra..." Choć, gdyby się znalazła jeszcze para, lżej by było...

TWARDOKĘS: Pchnę któregoś z furmanów południem, jak będzie trudno. Roboty nie ma, rozerwie się...

CHAŁADUS: A gadzina?

MEYSZTOR: Dla niej łatwiej o kwatery, niż dla was. Pogadajcie o tym z agronomem *(wskazuje na Twardokęsa)*. A do zamku niech przyjdzie paru z was z łopatami, wygarnie się gruz... Kobiety obmyją podłogi. Nie pomarzniecie przecież, bo lato...

PAZERA: My już dobrze wymieciemy pańskie śmiecie.

MEYSZTOR: W takim razie przeprowadzka całą parą. Tym bardziej, że i postojowe na stacji kosztuje... A więc chodźmy, *(wstaje z krzesła i rusza ku drzwiom)*.

(Wszyscy osadnicy wychodzą wraz z Meysztorem. Na scenie pozostaje jedynie Twardokęs, który zaczyna przeglądać jakieś dokumenty. Po kilku chwilach na scenę wchodzi Lenorka. Najpierw staje nieśmiało w drzwiach, a dopiero na zachęcający gest Twardokęsa wchodzi do środka).

LENORKA: Dzień dobry. Nie widzieliście mego ojca?

TWARDOKĘS: A który to wasz ojciec?

LENORKA: Śmiglewicz. Wiecie...

TWARDOKĘS *(wskazuje na krzesło)*: Może usiądziecie? Porozmawiamy, *(uśmiecha się)*: Mamy przecież żyć w pobliżu. Ja jestem tu agronomem.

LENORKA: A ja tu jestem z mamą i z ojczymem.

TWARDOKĘS: Podoba się wam tu?

LENORKA: O, tak.

TWARDOKĘS: Jak się już zagospodarujecie, to dobrze wam tu będzie.

LENORKA: Ojciec tu myśli sklep założyć. Potrzebny we wsi.

TWARDOKĘS: Sklep!?

LENORKA: Tak. Myślicie, że pójdzie?

TWARDOKĘS: Ja myślę, że przede wszystkim trzeba się gospodarstwem zająć, a nie sklepem.

(Przez chwilę panuje nieprzyjemne milczenie. Lenorka jest zakłopotana).

LENORKA: No, to ja już pójdę... Do widzenia *(szybko, prawie biegiem wychodzi z pokoju)*.

TWARDOKĘS *(siedzi bez ruchu, patrząc za odchodzącą Lenorką; potem znów zagłębia się w dokumentach)*.

Kurtyna.

Odsłona II

(Scena przedstawia ten sam pokój, co poprzednio. W pokoju znajduje się Meysztor i Twardokęs. Obaj stoją naprzeciw siebie. Meysztor jest zagniewany, zacietrzewiony, Twardokęs zachowuje spokój).

MEYSZTOR *(niemal z krzykiem)*: Nie upoważniałem was do tego! To już zakrawa na samowolę! Przywłaszczacie sobie prawa, utrudniając mi sytuację.

TWARDOKĘS: Ulgi dla tamtych dyktuje mi proste, ludzkie współczucie.

MEYSZTOR: Rządzenie się mieniem państwowym należy do mnie. Zapominacie jakoś o tym.

TWARDOKĘS: Pamiętam, współodpowiadam także, o czym, nawzajem, wyście zapomnieli. I to wiem, że władze zleciły oddać chłopom ziemię jak najprędzej.

MEYSZTOR: Decyzje leżą zarówno w rękach powiatu, jak moich... Państwo powierzyło mi...

TWARDOKĘS *(z ironią)*: ...honor majątku i jemu samemu go oddam... Brzmi to, jak testament księcia Józefa nad Elsterą.

MEYSZTOR: Dziwno mi, że jako Polak nadużywacie tak lekko wielkich słów, które włożyła nam do serc historia.

TWARDOKĘS: Historia nie zajęła mi całego serca. Zostawiłem w nim kącik na powszednie sprawy. Patriotyzm ciągle jakoś łączy mi się ze sprawiedliwością społeczną.

MEYSZTOR *(gniewnie)*: Sprawiedliwość społeczna...

(W tej chwili słychać kroki i na scenę wchodzą: Śmiglewicz, Pazera i Chaładus. W progu przystają na chwilę, jakby się zastanawiając, a następnie zdecydowanie ruszają w kierunku Meysztora i Twardokęsa, którym się jeszcze z daleka kłaniają).

MEYSZTOR *(z uśmiechem)*: No cóż? Do roboty w polu ckni się, a tu święty Biurokracy rozkrzekotał się na aktach i nie śpieszno mu zaglądnąć do nich...

PAZERA *(przerywając)*: Mnie się cosi widzi, że tu nie święty Biurokracy winien...

MEYSZTOR *(z troską w głosie)*: Jakże inaczej?

PAZERA: Całkiem prosto! Z ziemi ustąpić, panie rządco, i zbyte!

ŚMIGLEWICZ i Chaładus: Właśnie.

MEYSZTOR *(zapala papierosa)*: Łatwo mówić, trudniej zrobić. Ziemia dobro państwowe. Nie można tak: trzask, prask!

ŚMIGLEWICZ: Urzędnik w PUR-ze stawiał przed nami sprawę jasno: „Żadnej zwłoki! Od razu, jak się zainstalujecie. brać ziemię!".

MEYSZTOR: Rozmawiałem z komisarzem w powiecie, panem Kalinkiewiczem, nie dalej, jak trzy godziny temu. Ciągle nie ma instrukcji...

ŚMIGLEWICZ: Uwierzyć się nie chce.

PAZERA: Na piechty by list przyszedł, gdyby miał nogi. Cóż dopiero mówić o poczcie?... Chyba, że mu w drodze kto łeb ukręcił...

MEYSZTOR: Kalinkiewicz sumienny człowiek. Rozparcelował już tysiące hektarów. Chłopi go lubią... To jedna racja, może mniej ważna. Jest druga, poważniejsza: zbiory. Przyjechaliście w środku żniw. To komplikuje, to opóźnia działy...

CHAŁADUS: Kiejmy się zebrali, wtedyśmy...

MEYSZTOR *(nie zwraca zupełnie uwagi na słowa Chaładusa)*: Odpowiedzialność za każde ziarno, za inwentarz żywy i martwy ciąży na mnie. To nie bagatela. Folwarkiem zawiaduję, nie ogródkiem... Pewnie, najprościej byłoby rzec: bierzcie! Co z oczu, to i z myśli...

CHAŁADUS: Trza wedle prawa... Juścić, odpowiedzialność wielka. Gospodarowanie tylorgiem ziemi... Ho, ho! Głowy na to trzeba, nie makówki... Tak i teraz, przy zdawaniu... To napisz, o tamtym nie zapomnij...

MEYSZTOR: Sami rozumiecie...

CHAŁADUS: Duża gospodarka niewygoda. Juści. Ale — chwalić Boga— to w niej miłe, że się przecież gospodarzy..... Zajrzysz do sąsieka — pełny. Wyjrzysz za stodołę! bróg pod chmury... A u nas co? Z odrobinyśmy się tu zwlekli i okruszyn już dojadamy... W każdy dzień o jedną dziurkę pasa przyciągaj... Nie dziwota, że nam pilno do swojego... Zaorać, zasiać, doczekać się oziminy, później kłosów...

PAZERA: Święta prawda...

CHAŁADUS: ...dlategośmy przyszli. I dlatego trudno o gładkie słowa z gęby...

MEYSZTOR: A jakbyście tak — myślę o tych, co najbardziej potrzebują pomocy — zgodzili się do mnie na robotę. Tymczasem, dopóki się nie sprzątnie. Plonów jeszcze sporo na polu — owsy, ziemniaki, buraki cukrowe i zwykłe... I zarobiłby ten i tamten i byłoby prędzej... Jak sądzicie?

CHAŁADUS *(niezdecydowanie)*: Pomóc by można...

MEYSZTOR: Jak wola. Nie namawiam.

CHAŁADUS *(do pozostałych chłopów)*: Coż wy?

ŚMIGLEWICZ: Dla niektórych ulga by była. *(Zwraca się do Pazery)*: Jak myślicie?

PAZERA: Hm, jakby to przyśpieszyło podział gruntów, można by. Tyle żeśmy tu przyszli, nie na parobków, jeno na gospodarzy.

MEYSZTOR: Kto mówi o parobkowaniu? Pomoc sąsiedzka, nic więcej. I w biedzie poratunek. Zapłacę w gotówce, albo w naturaliach. Na co kto będzie miał chęć... No więc? *(spogląda po kolei na wszystkich osadników)*. Robota czy mitręga?

CHAŁADUS *(po chwili namysłu, zdecydowanie)* Komu mus, niech idzie. Mniejszy grzech robota w majątku, niżli próżniacze czekanie.

MEYSZTOR: A jak tylko instrukcja przyjdzie, to, oczywiście, ziemię podzielimy i już na swojej będziecie pracować.

PAZERA: Myślę!

(Przez chwilę trwa milczenie, a potem osadnicy zaczynają się zbierać do wyjścia. Kłaniają się Meysztorowi i Twardokęsowi i wychodzą. Twardokęs zastanawia się przez chwilę i wychodzi za nimi. Na scenie pozostaje jedynie Meysztor. Patrzy za odchodzącymi i na twarzy jego rozlewa się zły, zawistny uśmiech).

MEYSZTOR *(jadowicie)*: Gospodarzami zachciało im się być! A parobkami nie łaska?!

Kurtyna.

Odsłona III

(Scena przedstawia ten sam pokój, co w odsłonie poprzedniej. W pokoju znajduje się Meysztor i Kalinkiewicz. Obaj siedzą rozparci w fotelach i palą papierosy. Przy Kalinkiewiczu leży teczka i cały plik dokumentów. Na wieszaku wisi ociekający wodą płaszcz Kalinkiewicza).

d. c. na str. 19

BELGIA



Cztery godziny jazdy samolotem i lądujemy na lotnisku w Brukseli, stolicy Belgii. Z lotniska do centrum miasta 10 km. Drogę tę przejeżdżamy samochodem. Mijamy przedmieście. Tuż za nim, na polu obóz pięciu czy sześciu drewnianych bud na kółkach niby domki na wozach. Sądzimy, że jest to obóz cygański. Kierowca wyprowadza nas z błędu. Mieszkają w nim Belgowie. Podobno domki te wewnątrz urządzone są bardzo przyzwoicie, a nawet z pewnym komfortem. Jedziemy dalej. Szeroka aleja, podmiejskie wille, jeszcze kilka przecznic, zakrętów i jesteśmy w śródmieściu. Pierwsze co uderza to wielka ilość neonów i bogatych wystaw. W handlowej dzielnicy jest bardzo ruchliwie, pojazdy wolno się przesuwają, przechodnie dla odmiany idą śpiesznie. Uliczni sprzedawcy głośno zachwalają swój towar. Jest ich bardzo wielu, starają się nawzajem przekrzyczeć. Sznurowadła, pasta do butów, klej do porcelany i łatania skarpetek, uniwersalne proszki, jakoby pomocne przy wszelkich dolegliwościach. Obok stolik z kartami — jakiś spryciarz zapewnia, że przy małym ryzyku jego karty dają wielką szansę wygrania. Przy stoliku zbiera się tłum ciekawych, są to ci sami ludzie, którzy przed chwilą szli jakoby się spiesząc. Po krótkim czasie ten gwar przekupniów zmieszany z monotonnie powtarzaną przez megafon reklamą wielkich firm i stałym migotaniem neonów staje się bardzo męczący. Opuszczamy tę dzielnicę, z ulgą wchodzimy w spokojne boczne uliczki. Osobliwością ich są bardzo wąskie, dosłownie dwu lub trzy okienne a jednocześnie wysokie domy. Domy te ściśle przylegają do siebie, każdy z nich jest inaczej budowany, są różnej wielkości i zazwyczaj różnego koloru. Sprawia to wrażenie przypadkowo zestawionych pasków, oko nie ma na czym spocząć. Boczne ulice są zazwyczaj bardzo wąskie, tym samym dość ciemne. Przyjemna jest schludność tych ulic. Belgowie są bardzo czyści. Piątek jest dniem, w którym każda gospodyni myje wodą i mydłem parter domu, trotuar i jezdnię.

Bardzo niewiele jest w Brukseli dużych gmachów nowoczesnych, to można spotkać na szerokich pięknie zadrzewionych bulwarach. Tam też znajdują się bogate i wystawne gmachy Sądów, Muzeów i pałaców królewskich. Ładny bardzo jest Stary Rynek, śliczne stare średniowieczne gmachy, zbudowane z wielkim przepychem i gustem.

Miasto to jest rozległe na 8 km^2 — dużo jest linii tramwajowych. Linie te przechodzą nawet przez najwęższe uliczki. Są miejsca, w których gdy tramwaj przejeżdża przechodnie muszą przywrzeć do muru.

Mimo, że na wystawach jest dużo ładnych i barwnych strojów, kobiety na ulicach nie wyglądają ładnie — widać **brak im gustu czy szyku. Naprawdę, że** Polki wyglądają w swych skromniejszych strojach nieporównanie ładniej i bardziej elegancko.

Ogólnie Bruksela zostawia wrażenie miasta bardzo bogatego, ale pozbawionego uroku.

Wyjeżdżamy na prowincję, która jest znacznie ciekawsza od stolicy. Doskonałe szerokie drogi asfaltowe. Gęsto rozmieszczone, zazwyczaj przemysłowe miasta. Wszędzie bardzo czysto i znów bogate wystawy.

Zatrzymujemy się w Liege — ośrodek hutnictwa i duże centrum węglowe. To miasto ma charakter przemysłowy, tym samym i robotniczy. Tu spotykamy dużą kolonię Polaków. Przyjechali tu przed 40 — 30 laty. Pracują w kopalniach Polacy i Włosi — pracują wyłącznie pod ziemią. Administracja nigdy nie pozostawia przy pracach na powierzchni przybyłych emigrantów. Te roboty obsadzone są przez górników Belgów. Nasi rodacy skarżą się na warunki pracy. Zarabiają wprawdzie nieźle, ale belgijskie kopalnie nie oszczędzają płuc, wszyscy oni chorzy są na pylicę. Najgorsze jest jednak to, że w dół, do kopalni schodzą już ich synowie. Polaków do fabryk nie przyjmują — kopalnia jest jedyną możliwością, a pylica młode płuca niszczy szybciej. Rozumiemy ich tragedię — staremu nie wiele już pozostaje pracy do otrzymania pensji — a tymczasem pył węglowy niszczy już zdrowie jego syna. Ściskamy sobie dłonie, życzymy po polsku szczęścia i odjeżdżamy.

Jedziemy doliną rzeki Mozeli. Droga jest piękna, biegnie tuż nad brzegiem rzeki, a jednocześnie cały czas jakby u podnóża pasma górskiego. Z jednej strony okna maszyny mamy pnący się w górę szumiący las, a z drugiej pełnowodną, rozłożystą rzekę. Na drugim jej brzegu nowoczesne wille, ładne, lekkie w linii pastelowe w kolorach.

Podjeżdżamy do Charleroi. Znów hałdy węgla — to drugi ośrodek górniczy. A co tam z daleka widać na ziemi, okrągłe z karbowanej blachy, jakby olbrzymia rura, czy przewrócona cysterna są w niej okna i drzwi. Objaśniają nam — w tych metalowych beczkach mieszkają ci ostatni, wojenni emigranci polscy. Pracują, ale nie starczyło dla nich mieszkań w domach przy kopalni, gdyż zajmują je dawni emigranci. Nie zatrzymujemy się, jedziemy dalej. Jak i poprzednio droga doskonale utrzymana — asfalt, gęsto i starannie ustawione znaki ostrzegawcze. Stacje benzynowe, garaże naprawy i knajpy, ale bez wódki, bo w Belgii obowiązuje prohibicja. Można pić wino względnie piwo.

Maszyna skręca na północ. Przyjeżdżamy do średniowiecznego miasteczka Brige. Jest śliczne, stanowi jakby żywe muzeum dawnej, jakże ciekawej architektury. Zatrzymujemy się na starym rynku. Siadamy na tarasie kawiarni. Podają nam jakiś mrożony orzeźwiający napój. Przyglądamy się pięknu tych zabytkowych budowli. Odpoczęliśmy, ugasili pragnienie — płacimy. Już jesteśmy przyuczeni, że niezależnie od rachunku trzeba dodać jakąś sumę, gdyż w Belgii kelnerzy utrzymują się jedynie z napiwków. Podobnie jest zresztą w taksówkach, których właścicielami są przedsiębiorcy. Kierowcy w taksówce trzeba dać sporą sumę, niezależnie od rachunku który opłaca się według tego co wybił licznik. Ale nie plotkujmy na Belgów. Jedziemy krętymi uliczkami, zaglądamy do wnęk domów, mijamy kościół klasztor a opodal znów kościół przed nim rzeźba św. Kaliksta i jego ucznia. Dochodzą nas piękne tony organów. Wchodzimy do wnętrza. W kościele było prawie pusto. W ostatnim rzędzie modliła się młoda, bardzo ładna kobieta. Wnętrze kościoła było pogodne, jasne. Szczególnie podobały nam się witraże i subtelne brzmienie organów. Teraz myślę, że wszystko w tym kościele było tak przyjemne i może dlatego tak ładną wydała się nam ta jedyna modląca się kobieta. Zmierzcha — już musimy wracać do Brukseli. A szkoda bo z Brige wszystkiego 20 km. dzieli nas od brzegu Morza Północnego. Przyjedziemy tu jeszcze. Jedziemy już na południe, po drodze miniemy miasto Gent, do Brukseli odjedziemy w nocy. Umawiamy się z szoferem, że nam w najbliższych dniach pokaże Antwerpię — stary port, znany z wielkich szlifierni diamentów i handlu diamentami.

Ten mały kraj, wciśnięty między Francję i Niemcy ma osiem i pół miliona mieszkańców niewiele bogactw naturalnych, ma największą gęstość zamieszkania 70 na km.^{2}, największą ilość samochodów w stosunku do ilości ludzi, najgęstszą sieć dróg i chyba najwyższy poziom życiowy w Europie. Bo aczkolwiek robotnicy mieszkają w piwnicach, ale zarabiają stosunkowo nieźle, bezrobocie jest bardzo nieznaczne.

Z czego ten mały kraj czerpie soki?

Belgia włada olbrzymią, bogatą kolonią — Kongiem Belgijskim w Afryce. W Kongu Belgijskim są bogate złoża uranu — surowca potrzebnego do produkcji bomby atomowej. Uran zabierają Belgowie Kongolijczykom, a Belgom odbierają go Amerykanie. Tylko, że Amerykanie jednak Belgom w pewnym stopniu za ten uran płacą, a Belgowie Kongolijczykom zupełnie nie płacą. A prócz bogatego w surowce Konga — Belgia zagarnęła jeszcze maleńką, obok leżącą kolonią Ruanda — Urundi. Ziemia tam jest zupełnie biedna, ale bogactwo jej stanowią prawie 4 miliony mieszkańców, których Belgowie używają jako najtańszej siły roboczej.

Tylko, że ostatnio coraz więcej narodów kolonialnych kategorycznie odmawia pracy dla mocarstw kolonialnych. Gdy mieszkańcy Konga i Ruandy odmówią go Belgom bardzo się stopa życiowa zniży.

D. S.



Bruksela



Ostenda



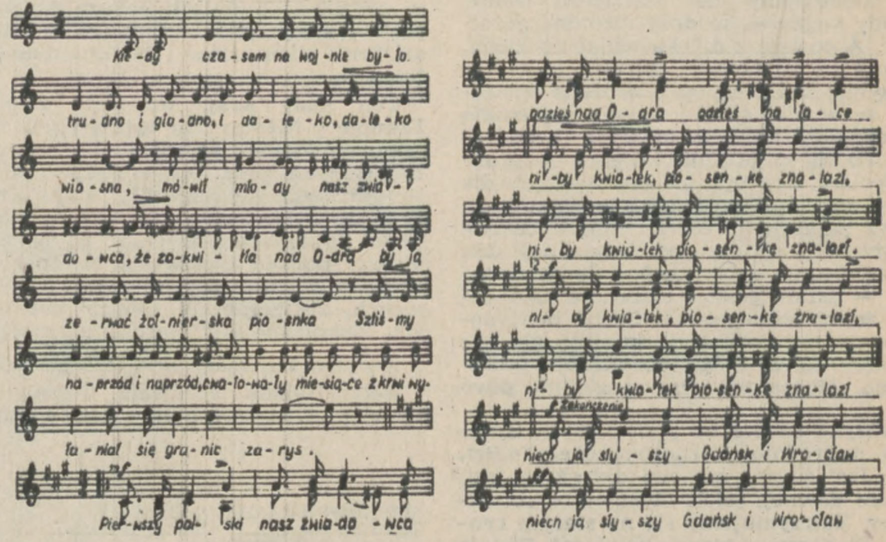
Demonstracja w Brukseli



Fragment ludowego tańca belgijskiego



PIOSENKA ZWIADOWCY



Kiedy czasem na wojnie było trudno i głodno,
i daleko, daleko wiosna,
mówił młody zwiadowca, że zakwitła nad Odrą,
by ją zerwać, żołnierska piosnka.
Szliśmy naprzód i naprzód, cwałowały miesiące,
z krwi wyłaniał się granic zarys.

Pierwszy polski zwiadowca gdzieś nad Odrą na łące,
niby kwiatek, piosenkę znalazł.

Na Mazowszu jest strumień, nad strumieniem dziewczyna,
nie ma we wsi piękniejszej od niej,
Napisała mi liścik — on pofrunął, popłynął,
aż przypłynął nad moją Odrę.
Czytam w liście, że kocha i że czeka na wieści,
z nimi przyjdzie mój list — posłaniec.

— Moja miła, ja tobie zamiast listu odeślę
raźną piosnkę zachodnich granic.

Może piękne, bogate są dalekie gdzieś kraje,
ale obcych nam ziem nie trzeba.
Myśmy szlak nadodrzański w krwawym znoju deptali,
aby polski tu chleb dojrzewał.
Aby pokój obronić, aby szczęście nam wykuć,
dłoń nie zadrży, jak granit mocna.

Niech więc chluśnie piosenka, niby fala Bałtyku,
niech ją słyszy i Gdańsk i Wrocław...

d. c. ze str. 9

Cudzoziemiec wziął jedną z rurek i także zaczął tam patrzeć. Wkrótce potem zaszło straszliwe, nie widziane dotąd nieszczęście. Zauważyliśmy nagle, że niebo i ziemia zaczęły ciemnieć jak przed burzą. Kiedy zaś cudzoziemiec położył rurkę i zapisawszy coś pośpiesznie, wziął do ręki ciemne szkło, usłyszeliśmy wszyscy, jak ktoś krzyknął:

— Panowie, słońce się chowa!

Rzeczywiście, coś czarnego, bardzo podobnego do patelni, nasuwało się na słońce i coraz bardziej je zasłaniało. Widząc, że polowy słońca już nie ma i że mimo to nieznajomi prowadzą dalej swoje dziwne praktyki, kilku z nas zwróciło się do posterunkowego Własowa i powiedziało mu:

— Panie posterunkowy, czemu pan nie zwraca uwagi na nieporządek?

Ten odpowiedział:

— Słońce — to nie w moim rewirze.

Na skutek takiego niedbalstwa władz miejscowych ujrzeliśmy wkrótce, że całe słońce zniknęło. Nastąpiła noc, a gdzie się podział dzień, tego nikt z nas nie wie. Na niebie pojawiły się gwiazdy. W rezultacie takiego nieprzepisowego zapadnięcia nocy zaszły w naszym mieście następujące wypadki. Wszyscyśmy się okropnie przestraszyli i ulegliśmy panice. Nie wiedząc, co tu robić, biegaliśmy w przerażeniu po całym placu i popychając się wzajemnie, krzyczeliśmy: „Policja! Policja!" Krowy i konie (właśnie w tym czasie odbywał się u nas targ na bydło) zadarły ogony i ryczące ze strachu biegały po mieście ku jeszcze większemu przerażeniu obywateli. Psy wyły. Pluskwy w pokojach zajazdu, wyobrażając sobie, że nastąpiła noc — powyłaziły ze szpar i zaczęły wściekle kąsać śpiących. Diakon Fantasmagorski, który w owym czasie wiózł do swojego domu z miasta ogórki, wyskoczył przestraszony z wozu i schował się pod mostem, a jego koń wjechał z bryczką na cudze podwórko, gdzie ogórki zostały skonsumowane przez świnie. Urzędnik akcyzy, Pochlebcow, nocujący nie w swoim domu, ale u sąsiadki (imię sprawiedliwości nie możemy ukrywać tego szczegółu), wyskoczył na ulicę w samej tylko spodniej bieliźnie, wpadł między tłum i wrzasnął dziko:

— Ratuj się, kto może!

Wiele niewiast zbudzonych hałasem wybiegło na ulicę nie zdążywszy nawet wzuć trzewików. Zaszło jeszcze wiele takich rzeczy, o których ośmielimy się opowiedzieć tylko przy drzwiach zamkniętych. Nie przerazili się i zachowali spokój ducha jedynie strażacy, którzy o tej porze spali snem sprawiedliwych, co niniejszym poświadczamy. Wszystko to wydarzyło się 7 sierpnia rano.

Nieznajomi zaś, narobiwszy w ten sposób tyle świństw, włożyli swoje papiery do teczek i kiedy słońce znowu się pokazało, wsiedli do powozu i wyjechali w niewiadomym kierunku. Kim są — tego nie wiemy dotychczas. Podajemy ich cechy szczególne. Ten z perłową szpilką: wzrost średni, twarz wygolona, podbródek umiarkowany, czoło pomarszczone; cudzoziemiec: wzrost średni, budowa korpulentna, twarz wygolona, bez znaków szczególnych, podbródek kształtów umiarkowanych, z daleka podobny do pana dziedzica Karasiewicza; jest krótkowidzem i z tej właśnie przyczyny nosi okulary.

Czy to aby nie szpiedzy austriaccy?



OSIEDLEŃCY

d. c. ze str. 15

KALINKIEWICZ: To ci dopiero niespodzianka z tym deszczem. Na szczęście miałem nosa i zabrałem palciak ze sobą. Żeby nie on, wyglądałbym jak topielec.

MEYSZTOR: Wam bez deszczowca jak Chamberlainowi bez parasola.

KALINKIEWICZ: Co, nie? Tylko dzięki tej ostrożności niebieskie fontanny nigdy jeszcze nie nasiusiały mi za kołnierz.

MEYSZTOR: Chciałem wam wygodzić bryczką, a tu masz. Obejrzeliście pola?

KALINKIEWICZ: Jakżeby nie? Nie ziemia — masło! Dotykać palcami i lizać.

MEYSZTOR: Zabiedzą ją chłopi jak szkapę, skoro się dorwą... Wstąpicie do mnie na herbatę, czy wpierw pogadacie z osadnikami?

KALINKIEWICZ: Przede wszystkim osadnicy.

MEYSZTOR: No, to poślę kobietę do Chaładusa, niech ich zwoła. Najstateczniejszy, *(krzyczy):* Klaro!

KLARA *(staje w drzwiach, wycierając ręce o fartuch).*

MEYSZTOR: Zawiadomcie Chaładusa, że przyjechał z miasta komisarz Kalinkiewicz. Niech tu przyjdą.

KLARA *(wychodzi).*

KALINKIEWICZ *(zaciąga się papierosem):* Tyle już tej ziemi rozparcelowałem, ale...

MEYSZTOR: Co „ale"?

KALINKIEWICZ: Widzicie, Polska, żeby rosła ekonomicznie, musi oprzeć się na wielkim areale...

MEYSZTOR: O, właśnie! Sięgnijmy chociażby do Skaręg. Dwieście hektarów — niby dużo i niedużo. A jednak... Niedawnośmy zaczęli gospodarkę, przecież różnica z hektara wyraźnie świadczy przeciw rozdrabnianiu. Przy wzroście agrotechniki — za parę lat — różnica uwidoczni się jeszcze więcej...

KALINKIEWICZ: No, tak, ale tymczasem trzeba parcelować.

MEYSZTOR: Ja robię, co mogę, żeby to jak najbardziej odwlec.

KALINKIEWICZ: Jak się roboty skończą, długo przeciągać się nie da. Chłopi byli już dwa razy w powiecie. Moja sekretarka spławiła ich jakoś... Dużo pracuje w gospodarstwie?

MEYSZTOR: Prawie wszyscy. Oprócz Chaładusa i Śmiglewicza. No i tych kobiet, co przy dzieciach.

KALINKIEWICZ: Kto jest ten Śmiglewicz? Zetknąłem się z nim po drodze. Wygadany.

MEYSZTOR: Najobrotniejszy w ich gromadzie. I — zdaje się — zamożny. Nie pasuje trochę do kmiotków. Można by to wykorzystać...

KALINKIEWICZ: No?

MEYSZTOR: Skaptować i wysunąć przeciw ogółowi. Niech agituje za utrzymaniem majątku. Można by mu było obiecać jakąś posadkę. Nie wiem tylko, czy to wystarczy. Głodni ziemi, jak wilki ścierwa... Najlepsze by były kontrakty.

KALINKIEWICZ: Spróbujemy. Nie uda się, poszukamy innego wyjścia. *(W tej chwili na scenę wchodzą chłopi. Między nimi jest też Śmiglewicz, Pazera i Chaładus. Kłaniają się z daleka i stają grupą naprzeciw Kalinkiewicza i Meysztora):*

KALINKIEWICZ: Bardzo przepraszam, żeście się fatygowali do miasta na darmo. *(Wita się po kolei ze wszystkimi chłopami).* Cóż! Tyle obowiązków! Wyjazdy, odprawy, konferencje. Powszednia dola terenowca.

MEYSZTOR: Służba nie drużba.

KALINKIEWICZ *(wskazuje na papiery):* O, rosną, wciąż rosną. Niedługo w segregatorze się nie zmieszczą.

PAZERA: Nam z tego rośnięcia guzik. Bez papierków prędzej by się świat obracał.

CHAŁADUS: I łacniej człowiek dogadałby się z człowiekiem.

KALINKIEWICZ: To się tak mówi, mili, papierki. I wy, jak przyjdzie do zapisu, nie obywacie się bez dokumentów. Jeszcze świadków spraszacie.

PAZERA: Jak kto ma co zapisywać.

CHAŁADUS *(do Pazery):* Zatkałbyś se choć teraz gębę. Do słowa nie dopuścisz.

KALINKIEWICZ: Otóż to! Jak kto ma co zapisywać! No, sami przyznacie, tu państwo ma. I nie chudo. Pola, budynki, zboże, zwierzęta, maszyny. Ale bliżej już nam do radości, niż do kłopotów. Dokumenty wszystkie na kupce *(uderza ręką w leżące przy teczce dokumenty).*

PAZERA: Nareszcie!

KALINKIEWICZ: Skompletowało się. Było łażenia!

CHAŁADUS: Niechże! Kiej się obróciło na dobre.

KALINKIEWICZ: Pozostaje sprawa ostatnia. Inwentaryzacja mienia. To już tylko kwestia paru dni... Spis inwentarza żywego i martwego, rozdysponowanie w sąsiedztwo, zgodnie z zarządzeniem. Konieczności, których obejść się nie da.

CHAŁADUS: Cierpliwości już brakuje.

KALINKIEWICZ: Zacznę robotę od zaraz. Potom się tu przywlókł, nie zważając na deszcz. Boję się tylko o to, że wam tu ciężko będzie z początku. Inwentarza należytego nie macie. Moim zdaniem, to brać ziemię na dwa miesiące przed zimą, to nie tylko odwaga, ale i nierozsądek. Czy nie lepiej odwlec nadział do przyszłego roku. Administracja zasieje ozime i jare, a z wiosną będzie można parcelować gotowiznę. Albo może w ogóle machnąć ręką na dziadowanie i zawrzeć umowę na stałą pracę u pana rządcy. I dla was będzie lżej, i dla państwa...

PAZERA: Ja nie podpiszę umowy! Nie na służbe-m tu przyjechał. O taki chleb nie trudno było i w moich stronach. Zasieję, co będę mógł, reszta zostanie do wiosny. Nie dam rady i później obsiać, trawa też przyda się na paszę. A ziemi nie ustąpię!

CHŁOPI: I ja nie! Zaczniemy gospodarkę! Niech się dzieje, co chce!

KALINKIEWICZ *(skanduje):* Trudno! Zrobicie, jak uważacie! Inwentaryzowanie potrwa. Znajdziecie czas na przemyślenie.

PAZERA: Zaorzę, psiakrew.

Kurtyna.

AKT II

Odsłona I

(Scena przedstawia pokój w domku Śmiglewicza. Jest on dostatnio wyposażony poniemieckimi meblami. Przez okno widać drzewa owocowe, obwieszone owocami. W pokoju znajduje się Śmiglewicz, Śmiglewiczowa, Lenorka i Pendzialek).

ŚMIGLEWICZ *(rozmawia z Pendzialkiem, Śmiglewiczowa szyje, Lenorka siedzi z boku i czyta książkę. Na stole widoczny jest koszyk, napełniony rozmaitymi gatunkami jabłek).* Obejrzyjcie

PENDZIALEK *(Podaje Śmiglewiczowi jedno z jabłek z koszyka):* no sobie to tutaj.

ŚMIGLEWICZ: Ładne nie ma co.

PENDZIALEK: Wpierw spróbowanie, potem pochwały.

ŚMIGLEWICZ *(próbuje jabłko):* Ho, ho!

PENDZIALEK: Przypomina antonówkę, jeno, że w smaku mniej kwaśne. „Siewka z Pruszcza". Zagospodarzycie się, zaszczepicie u siebie. Odmiana zdrowa, odporna na mróz i na grunta niegrymaśna. W najgorsze lata dojrzewa, a przechować — utrzyma się do zimy. Uważdzież zębami i to czerwone. To „Piękne Hernnhut". Mieliście u siebie?

ŚMIGLEWICZ: Skądże?

PENDZIALEK: Jabłoń, ze świecą szukaj! Krępa, wytrzymała, owocuje co rok. Nawet moja krowa, Fryderyka, poznała się na niej. Nie przejdzie koło jabłoni, żeby jęzorem nie grabła liści... *(po chwili)* Czytałem kiedyś w książce starą chińską przypowieść o pewnym człowieku. Człowiek, trochę mądrala, szukał szczęścia w życiu. Znalazł je po latach w... w ogrodnictwie.

ŚMIGLEWICZ: Wam szczęścia szukać nie trzeba. Opływacie w dobrobycie, jak krępel w maśle.

PENDZIALEK: Gospodarstwo duże, nie powiem. Ale o robotnika trudno.

ŚMIGLEWICZ: Maszyny robią za ręce.

PENDZIALEK: Tak się to mówi. Jak człowiek nie poprowadzi...

ŚMIGLEWICZ: My byśmy i bez maszyn, jeno, że nie ma na czym.

PENDZIALEK: Był przecie Kalinkiewicz.

ŚMIGLEWICZ: Był. Ale nim pospisuje. Zresztą Meysztor rad szedłby na kontrakty.

PENDZIALEK *(ostro)*: Wy się panom mamić nie dajcie! Dawno powinniście siedzieć na polu.

ŚMIGLEWICZ: Jakoś nam się nie darzy od początku. Najpierw papiery, potem zbiory, teraz znowu to niespore zdawanie...

PENDZIALEK: Odwlekają, żeby być bliżej zimy. Myślą trzeźwo: jak was bieda przyciśnie, chętniej pójdziecie na ustępstwa.

ŚMIGLEWICZ: Jakby mi kto ślepia przecierał... Prawdę mówicie?

PENDZIALEK: Dlaczegóż miałbym was okłamywać?

ŚMIGLEWICZ: Wy tu od dawna żyjecie... Powinniście trzymać z nimi...

PENDZIALEK: Chłop chłopu wilkiem nie będzie.

ŚMIGLEWICZ: Cóż radzicie?

PENDZIALEK: Postawić się twardo! Zagrozić wyższymi władzami!

ŚMIGLEWICZ *(z rozczuleniem ściska dłoń Pendzialka)*: Dziękuję za siebie i za drugich.

PENDZIALEK: Tylko... żeby to, com mówił, zostało między nami. Z urzędnikami nie ma „śpasów". Wrypią podatki, albo i co gorszego i skub się potem. Do śmierci!

ŚMIGLEWICZ *(do Lenorki)*: Lenorka, leć pędem do wszystkich. Niech tu przychodzą.

LENORKA *(odkłada książkę)*: Już idę. *(wkłada na siebie żakiet i wychodzi).*

PENDZIALEK: To i ja już pójdę. Do widzenia.

ŚMIGLEWICZ: Do widzenia. I jeszcze raz dziękuję.

(Pendzialek szybko wychodzi. Na scenie pozostaje Śmiglewicz i Śmiglewiczowa).

ŚMIGLEWICZ: Ale ten Pędzialek. Na pozór hardy, ale gdy się zgadać, miękki jak ulęgałka.

ŚMIGLEWICZOWA: A mnie się cosi zdaje, że on spoziera na Lenorkę.

Kurtyna.

Odsłona II

(Scena tak jak w poprzedniej odsłonie. Na scenie znajdują się: Śmiglewicz, Śmiglewiczowa, Lenorka, Pazera, Chaładus i Twardokęs oraz chłopi i chłopki).

ŚMIGLEWICZ: Skąd wiem, to wiem, o to mniejsza. Ważniejsze to, że ani Meysztorowi, ani Kalinkiewiczowi nie po myśli, byśmy dostali ziemię...

CHAŁADUS: Jakże to? A spis inwentarza?

ŚMIGLEWICZ: Spisują tydzień. Będą spisować drugi.

CHŁOP: Prawda! Szypłają się, jak wesz w kłakach.

CHŁOP II: Wygląda na to, jakby zwlekali...

ŚMIGLEWICZ: Nie wygląda, jeno tak jest naprawdę. *(ścisza głos)* Powiedział mi jeden taki, co ich plany przepenetrował na wylot. I mnie się to samemu nie widziało. Przeciem nie dzisiejszy... Mam lata... Kręcą, to jasne. Tydzień za tygodniem, byle do zimy. A w zimie pożyczki, borgi, bo żołądków powietrzem nie zapełni...

PAZERA *(z wściekłością)*: Okna łobuzowi wytłukę!

CHŁOP: Dziś jeszcze idziemy do Meysztora! Wszyscy! Ilu nas jest!

PAZERA: Sami podzielimy ziemię, jak panom trudno. Albo jest sprawiedliwość, albo jej nie ma!

ŚMIGLEWICZ: Zarekwiruje się ziarno i maszyny do roboty...

(Chłopi zaczynają sięgać po czapki. W tej chwili Twardokęs zatrzymuje ich gestem dłoni i zaczyna mówić).

TWARDOKĘS: Tak. Z jednej krańcowości w drugą. Najpierw pokora, potulność, potem pięści... Trzeba mieć zastanowienie. Nie dzieciście, ale dorośli. W Polsce obowiązuje praworządność, nie samowola.

PAZERA: Meysztor się na praworządność nie ogląda.

TWARDOKĘS: Przynajmniej pozornie stara się przeprowadzić wszystko, jak chcą przepisy. Samiście to stwierdzali wiele razy. Teraz, gdy wiemy, co i jak, tym bardziej nie należy działać pochopnie. Głupstwo zrobić łatwo. Trudniej je później naprawić... Mało macie biedy? Jeszcze wam więcej potrzeba?

CHAŁADUS *(wahając się)*: Niby to prawda, przecie...

TWARDOKĘS: Pięściami się takich spraw nie rozstrzyga dzisiaj... Prawo jest bez wątpienia po waszej stronie. Trzeba się oprzeć na nim.

ŚMIGLEWICZ: Tak jak dotychczas?

TWARDOKĘS: Nie! Przestać się kłaniać rządcy i Kalinkiewiczowi! Jechać do województwa!

ŚMIGLEWICZ: Jasne, trzeba ruszyć dziś w nocy jeszcze do województwa. Z Meysztorem i Kalinkiewiczem nie warto gadać.

CHAŁADUS: Jedyny ratunek.

TWARDOKĘS: Wybierzcie delegatów. Pociąg odchodzi o północy. Na rano będą na miejscu...

CHŁOPKA: Może tylko marnacja czasu.

PAZERA: Kruk krukowi oka nie wykole.

TWARDOKĘS *(zastanawia się przez chwilę)*: Znam w urzędzie wojewódzkim inżyniera Wykrotę. Doszły mnie słuchy, że ostatnio został komisarzem ziemskim. To byłoby po naszej myśli. Inżynier łebski chłop i partyjny. Nie pobłaża świństwom...

CHAŁADUS: Żeby go jeno zastać.

TWARDOKĘS: Nie zastaniecie, poczekacie. Za granicę nie wyjechał.

CHAŁADUS: Wiecie, agronomie! Radzicie dobrze, trudno poradzić lepiej. Pogadajcie sami z tym Wykrotą. Inaczej wam to wyjdzie, niż nam... *(zwraca się do pozostałych)*: Co wy, chłopi?

CHŁOP: Niech Twardokęs jadą! Poskładamy się na bilet, jeszcze dołożymy na drogę!

TWARDOKĘS *(uśmiecha się)*: Bilet sam sobie zapłacę. Stać mnie, żyję na kawalerce, alimentów, jak dotąd, nie płacę. Od przejażdżki też się nie zarzekam... Sądzę, że nie sam. Trzeba dobrać jednego albo dwóch spośród gromady. Inaczej wygląda, gdy się zjawi paru niżli jeden. Mogłoby jeszcze wyleźć, żem dlatego przyjechał bom się pokłócił z rządcą Meysztorem...

CHAŁADUS: Słusznie.

CHŁOP: Ja myślę, że Śmiglewicz niech jedzie jako drugi. On to wszystko wyniuchał, niech jedzie.

ŚMIGLEWICZ: Ja mogę jechać. Ale myślę, że i Chaładus powinien.

TWARDOKĘS: W takim razie, jeśli się nikt nie sprzeciwia, to dziś wyjeżdżamy.

(Wszyscy wyrażają zgodę i zwolna zaczynają się żegnać i wychodzić z izby, życząc delegatom szczęśliwej podróży. W izbie, poza gospodarzami, pozostaje jedynie Twardokęs, który po wyjściu gości zwraca się do Lenorki).

TWARDOKĘS: Książki żeście mi kiedyś obiecali. Może mi teraz dacie na drogę?

LENORKA *(zmieszana)*: Nie wiem tylko, czy będą się wam podobały?

TWARDOKĘS *(ze śmiechem)*: No, chyba coś tam dla siebie znajdę.

LENORKA: To chodźcie do drugiej izby, wybierzecie sobie.

(Oboje wychodzą. Śmiglewicz i Śmiglewiczowa długo patrzą za wychodzącą parą).

Kutryna

Odsłona III

(Scena przedstawia gabinet inżyniera Wykroty. Jest to duży, jasny pokój, w którym znajduje się biurko, krzesła, biblioteka. Biurko jest ustawione bokiem do widowni. Na biurku znajduje się telefon i wiele teczek z dokumentami. Za biurkiem siedzi inżynier Wykrota, a naprzeciw niego Twardokęs, Śmiglewicz i Chaładus).

WYKROTA: Czegoście się nie wybrali z tym wcześniej?

CHAŁADUS: Któżta wiedział? Załatwienie miało być na miejscu. Tamci zasłaniali się papierami, sprzętem. Zboża na polach rosło jeszcze sporo. Przeszkadzały w żniwach chlapy.

WYKROTA *(ze śmiechem)*: Gotowe wyjść, że nie oni winni, ale wy! *(Podchodzi do drzwi, otwiera je i zwraca się do widocznej w drugim pokoju urzędniczki)*: Rozmowa telefoniczna z Opolem. Referat powiatowy. Koniecznie komisarz Kalinkiewicz. Pilne!

URZĘDNICZKA *(Z drugiego pokoju)*: Już zamawiam.

WYKROTA *(wraca na swoje miejsce).*

CHAŁADUS: To może my zaczekamy w przedpokoju?

WYKROTA: Siedźcie. Powinniście być przy tym. *(Zagłębia się w leżących na biurku dokumentach, pisząc coś na nich od czasu do czasu). (Reszta cierpliwie czeka, paląc papierosy. Po kilku chwilach słychać dzwonek telefonu i Wykrota bierze słuchawkę. Wszyscy nachylają się ku niemu).*

WYKROTA: Kalinkiewicz? Dobrze, czekam. *(Po chwili)* Wykrota! Województwo! Są tu u mnie osadnicy ze Skaręg. Do jasnej cholery, co wy tam obaj z Meysztorem wyprawiacie z tymi ludźmi *(Przez dłuższą chwilę słucha)*. Dobrze, dobrze! Już ja się tu i bez pana dowiedziałem, po której stronie prawda. A państwem, do stu diabłów, niech mi się pan nie zasłania! Niech pan bzdur nie plecie i niech pan słucha! *(Patrzy przez chwilę na chłopów)*: W ciągu trzech dni przeprowadzi pan par-

celację Skaręg. Umożliwi w myśl instrukcji pomoc. Dopilnuje przekazania żywego i martwego inwentarza sąsiednim Barciom. Czekam na sprawozdanie.... Słyszy mnie pan? *(Po chwili)*. Powtarzam: trzydniówka na ostateczne uregulowanie sprawy osadników w Skaręgach. Dzień zwłoki — i zainteresuję panem prokuratora. Do widzenia! *(rzuca słuchawkę na widełki i zwraca się do obecnych)*. Najlepiej byłoby posłać obydwóch na zieloną trawkę. Niestety jesteśmy na dorobku i o ludzi trudno. Kalinkiewicz i Meysztor dobrzy fachowcy. Stracę ich tu, znajdą pracę gdzie indziej. Roztoczę nad nimi czujniejszą niż dotychczas kontrolę. Najwyższy już czas wyleczyć ich z biurokratyczno-dziedzicowskich nawyczek... *(Podnosi się z krzesła)*. Życzę powodzenia na nowych gospodarkach. Chyba teraz już przeszkód nie będzie.... Twardokęsa nie puszczajcie od siebie, bo się wam przyda, zwłaszcza w początkach. Ziemią się nie dławcie, bierzcie tyle, ile dacie radę obrobić. Żeby mi nie leżała odłogiem. *(Pisze coś na urzędowym blankiecie i blankiet ten podaje osadnikom)*. Tu macie wszystko na piśmie — dla Kalinkiewicza. Właściwie telefon wystarczy. Ale na wszelki wypadek...

(Osadnicy i Twardokęs żegnają się z Wykrotą i wychodzą. Wykrota zagłębia się w dokumentach, ale po chwili wchodzi urzędniczka).

URZĘDNICZKA: Przyjechali chłopi z Bielinka. Osadnicy. Mają trudności z nadziałem.

WYKROTA: Proście!

Kutryna

AKT III

Odsłona I

(Scena przedstawia pokój Śmiglewicza. Przez okno widoczny jest zimowy krajobraz. Pola pokryte śniegiem, drzewa za oknami uginające się pod ciężarem śniegu. Na stole znajduje się stolnica z ciastem, przy której stoi Śmiglewiczowa. Lenorka od czasu do czasu przebiega przez izbę. Widać, że jest zajęta przy pieczeniu ciast — uwalana mąką, zmęczona).

ŚMIGLEWICZOWA *(do przynoszącej jej jakiś przedmiot Lenorki)*: Raźniej-że się ruszaj. Do jutra będę drypsić koło tego?

LENORKA: Uprzykrzona-ście jak ten żużel. Już mi się i kołaczy odniechciewa...

ŚMIGLEWICZOWA: Bo chodzisz, jakbyś miała szczudła, nie nogi. W twoim wieku chałupę bym przeskoczyła.

LENORKA: Wszyscy takimi jak mama nie będziemy. *(Wychodzi na chwilę do przyległej izby i po chwili wraca stamtąd z formami na ciasta, które stawia obok stolnicy)*.

ŚMIGLEWICZOWA *(z westchnieniem)*: Pierwsze święta na nowych śmieciach. Żeby się jeno placki udały, żeby Pendzialek nie kręcił nosem...

LENORKA: Innym razowca brakuje, wy się trapicie, czy Pendzialek kołacz jadł będzie.

ŚMIGLEWICZOWA: Wszyscy jednako mieć nie mogą. W niebie też nie ma równości. Są cherubiny, serafiny i zwyczajne anioły...

LENORKA *(Z ironią)*: Tu na ziemi tym cherubinem, to pewnie Pendzialek?

ŚMIGLEWICZOWĄ: Co tam przyrównujesz świętych do ludzi.

LENORKA *(wskazując na ciasta)*: Szkoda takich przysmaków dla Pendzialkowej gęby.

ŚMIGLEWICZOWA: Znasz tę śpiewkę o kanarku i wróblu. Przyjdzie czas, będziesz jeszcze tę gębę całować, *(w tej chwili z drugiej izby wchodzi Śmiglewicz)*.

ŚMIGLEWICZ *(do Lenorki)*: Wyszłabyś za Pendzialka, grymaśnico! Chłop świata za tobą nie widzi.

LENORKA: Starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Mogłabym mu być córką.

ŚMIGLEWICZ: To i co? To i co? Myślisz, że jak zielone, to smaczniejsze? To tak jak agrest... Tylko brzuch boli...

LENORKA: Nie plótłby ojciec. Aż wstyd.

ŚMIGLEWICZ: Nie dzieckoś. Wierz memu doświadczeniu. Mężczyzna dojrzały, to jak wystałe wino w butelce. Łyk pociągniesz, w głowie się kręci!

LENORKA: Niech sobie innych szuka, stary zalotnik. Upaprał gębę miejskimi i niemiejskimi frykasami, teraz rad by ją sobie mną wytarł.

ŚMIGLEWICZOWA: Dla takiej partii przymyka się oczy na przywary.

LENORKA: Rai mama jak zawodowa stręczycielka.

ŚMIGLEWICZOWA: Co też ty, dziewczyno? Szczęścia twojego pragnę.

LENORKA: Sama zadecyduję o swoim szczęściu.

(Śmiglewicz i Śmiglewiczowa spoglądają znacząco na siebie).

ŚMIGLEWICZ: Żebyś sobie tylko takiego zielonego szczęścia bez jednej morgi nie wybrała. Myślisz, że nie widzimy z matką, jak oczami do agronoma strzyżesz? Ale on o ciebie tyle dba, co o śnieg zeszłoroczny.

(W tej chwili słychać pukanie i do izby wchodzi Pendzialek. Wita się ze wszystkimi).

PENDZIALEK: Dzień dobry. U mnie plotek dziś pełna kieszeń.

ŚMIGLEWICZOWA: Znowuż? Nie do twarzy wam z nimi.

PENDZIALEK: I mnie lubią czasami.

ŚMIGLEWICZ: Słuchamy.

(Wszyscy siadają wygodnie na krzesłach, mężczyźni zapalają papierosy).

PENDZIALEK *(spogląda na Lenorkę i zastanawia się przez chwilę, wreszcie mówi z wahaniem)*: Wolałbym, żeby Lenorci nie było przy tym.

ŚMIGLEWICZ: Nie dziecko już, to się nie zgorszy.

PENDZIALEK *(z westchnieniem)*: Pierwsza plotka to ta, że mi się Klara popśniła. Z agronomem się puściła.

ŚMIGLEWICZOWA *(ze zgorszeniem)*: Nie do uwierzenia Takie robotne kobiecisko.

ŚMIGLEWICZ: Pobiorą się chyba. Tak jej nie zostawi.

PENDZIALEK: Rad bym. Rad bym, mniej chwaściłoby się wstydu.

ŚMIGLEWICZ: Mówiliście: plotki. Dopierośmy słyszeli jedną. Gdzież druga?

PENDZIALEK: Tę, to i sami chyba już znacie. Wróble ćwierkają...

ŚMIGLEWICZ: Spółdzielnia?

PENDZIALEK: Ale!

ŚMIGLEWICZ: Niech se dziady zakładają.

PENDZIALEK *(podniecony)*: „Dziady“, mówicie. Zaraz widać, że od czasu, kiedyście sobie sklep założyli, poza nim świat was nie obchodzi. A to niedobrze.... bardzo niedobrze.

ŚMIGLEWICZ: Ludziska pletą. Agronom pary dotychczas nie puścił z gęby...

PENDZIALEK: Ćwik! Na cztery nogi kuty! Darmo nie dostał legitymacji... Wziął wody w zęby, bada nastroje, co insi, co wieś. Ma czas... *(po chwili)*. Wpuścić kołchoz do wsi, to przewrócić stary porządek. Z pieca na łeb, do góry nogami! Dziwno wam? Nadzieja na lepszy chleb znęci Pazerów, Chaładusów, Latochów... Czy ten chleb będzie „lepszy“, to insza sprawa... Tyle, że wtedy co? Ugryziemy roboty zębami? Nie na grządkach my, na hektarach. Tak było gdzie indziej, tak będzie i tu... Nie śmiejcie się — pójdą jak wrony do kukurydzy. Nie za miesiąc, to za rok, za trzy. A to na jedno wychodzi. Braknie najemnika, nie podołamy robocie, zejdziemy na dziady. Po roli... to was bardziej przekona, niż com rzekł przedtem — po roli przyjdzie kolej na spółdzielczy towar, na wódkę. Bąkają o tym tacy, co wiedzą... Co wtedy z wami? Z waszym sklepem?

ŚMIGLEWICZ *(z niepokojem w głosie)*: Toście mi klina w głowę zabili. Co robić?

PENDZIALEK: Co robić? Trzymać się razem! O, tak! *(chwyta dłoń Śmiglewicza i mocno ściska w swojej)*. Ja, wy, inni... nawet Meyszterowie. Nie dopuścić!

ŚMIGLEWICZ: Takie sprawy.

PENDZIALEK: A... takie.

ŚMIGLEWICZ *(Opiera się ciężko łokciami na stole, przez dłuższą chwilę zastanawia się i wreszcie gwałtownie wstaje od stołu i podchodzi do Lenorki i staje przed nią)*.

LENORKA *(W chwili, kiedy Śmiglewicz staje przed nią — również wstaje z krzesła i wyprostowuje się. Jest wyraźnie przestraszona)*.

ŚMIGLEWICZ *(Z krzykiem)*: Słyszałaś, Lenarco? Takiego chowu jest ten, wychwalany przez ciebie, agronom. Obrazoburca! Wichrzyciel! Bierz. Pendzialka, skoro cię ma w chceniu, bo człowiek — kryształ. Nie mędrkuje, nie zbawia świata jak tamten, haruje, ale i chleba ma dostatek. Bierz — powtarzam — żeby nie było za późno. Taka wola matki i moja!

PENDZIALEK *(wzdychając)*: Trzeba by przecie w końcu pomyśleć o jakiej familii. Wiecznie kawalerem nie będę.

ŚMIGLEWICZOWA: Nie kapryś, Lenuś.

LENORKA *(milczy przez dłuższą chwilę, widać, że coś waży w sobie i wreszcie odpowiada)*: Powiem, mamusiu, panu Pendzialkowi. Jutro powiem czy go chcę... *(wybiega szybko z pokoju)*.

Kutryna

Odsłona II

(Scena przedstawia gabinet Wykroty, tak jak w odsłonie III aktu II. W gabinecie znajduje się Wykrota, Kalinkiewicz i urzędniczka).

KALINKIEWICZ: Dopieroście dali, już będziecie odbierać!

WYKROTA: Nie. Nie będziemy odbierać. Najwyżej dołożymy temu, kto sobie krzywduje, że ma mało.

KALINKIEWICZ: Komu? Z czego?

WYKROTA: Mówicie „komu" i „z czego". Proste. Sens regulacji leży w tym, żeby gospodarstwa osadnicze uczynić samowystarczalnymi. Początkowo brał, kto chciał i ile chciał. Zezwalała patrzeć na to przez palce potrzeba likwidacji odłogów, zagospodarowania pól opuszczonych. Zagranica wycierała sobie nami gęby...

KALINKIEWICZ *(z ironią)*: Strasznie to jakieś „dialektyczne". Normy gospodarstw?

WYKROTA: Osiem, dziesięć, wyjątkowo dwanaście hektarów.

KALINKIEWICZ: Czy nie za wcześnie? Przykład — Skaręgi: Meysztor, któremu po parcelacji została resztówka trzydziestohektarowa, Pendzialek. Prawda, korzystają z pomocy... Lecz — nawzajem — co poczną „pomocnicy", jeśli nie skorzystają z niej? Dodatek pola zwiększy trudności...

WYKROTA: Państwu dziś łatwiej o kredyty, inwentarz i nawozy niż w początkach. Dlatego ten zabieg chirurgiczny. Pewniejsze wyniki operacji za świeża niżeli potem, po zrostach...

KALINKIEWICZ: Znam teren i wiem, że...

WYKROTA: Słyszałem już. I ja nie sypiam na aktach. I wiem, że mimo parcelacji w Skaręgach nie jest tak różowo. Osadnicy nie mają odpowiedniego inwentarza. Oczywiście znajdują się chętni, którzy im pożyczają — za odrobek. Taka sytuacja nie może istnieć. Z chwilą, kiedy osadnicy dostaną kredyty na zakup inwentarza, będą mogli robić lepiej na swoim, odrobek się skończy — no i co wówczas zrobią ci „dobrzy"? Kto na nich będzie pracował? Wymieniliście nazwiska: Pendzialek, Meysztor. Dobrze, mamy przykłady. Pendzialkowi nie przeszkadzajmy. Nad jego stanem posiadania trapiła się już reforma rolna i prześliznął się przez oczka jej sieci. To zupełnie inny problem... Meysztor! O, tu postąpimy zgodnie... z sercem. Dziesięć hektarów i ani jutrzyny więcej. Ustrzeżemy go w ten sposób od niedozwolonych tęsknot bogacenia się wysiłkiem innych. Zachęcimy do pracy własnoręcznie...

KALINKIEWICZ: Rzuci gospodarkę...

WYKROTA: Jego wola. Udowodni, że milszy mu łatwy chleb niż praca. Że jest kleszczem, pijawką i tak dalej... Zgadza się?

KALINKIEWICZ: Cholernie!

WYKROTA: No więc... tu instrukcje *(daje Kalinkiewiczowi plik dokumentów)*. Reszta do przeprowadzenia już przez was.

KALINKIEWICZ *(pół żartem, pół serio)*: Serce się krwawi.

WYKROTA *(żartobliwie)*: Komu się nie krwawi. Choć, jeśli chodzi o Meysztora, w waszym interesie leży wyrwanie go ze Skaręg. Gospodarstwa czekają na administratorów. To dobry rolnik i pewnie się złakomi.

KALINKIEWICZ: Zawszem mu to powtarzał...

WYKROTA: Nie dość wymownie, skoro nie usłuchał. Teraz nadarza się okazja przekonać go ostatecznie... Nawet mam już miejsce dla niego.... godne **kwalifikacjom.**

KALINKIEWICZ: Cieszę się...

WYKROTA: Meysztor obejmie administrację Barci po Gałęzowskim, którego zabiera ministerstwo. Uważam to za awans i on pewnie tak to zrozumie. Jeśli w pełni wykorzysta swoje zdolności, zrobi z zespołu wzór dla gospodarstw w okolicy. *(zwraca się do urzędniczki)*: Męczymy komisarza, panno Trudo, *(żartobliwie)* jeszcze sobie weźmie do serca. Co jako tako uporządkuje powiat, burzą jego wysiłek intruzy z województwa. A jeszcze jak dojdzie do tworzenia spółdzielni...

URZĘDNICZKA: Kuracja odtłuszczająca dobrze zrobi komisarzowi. Podobno ostatni rentgen wykazał, że komisarz zgubił całkiem lewą połówkę serca pod tłuszczem.

WYKROTA *(śmiejąc się)*: Boję się, że jak tu częściej będzie przyjeżdżał, to zgubi całe serce przy pani.

(Wszyscy śmieją się).

Kutryna

Odsłona III

(Scena przedstawia drogę wiejską — drzewa, krzewy, kilka dużych kamieni. Na scenie znajduje się Lenorka i Klara. Stoją naprzeciw siebie).

KLARA: O cóż ci idzie?

LENORKA: Dziś mam rzec Pendzialkowi, czy wyjdę za niego. Tak wczora stanęło u rodziców... Powiedział, że nie z nim, jeno z agronomem będziecie mieli dziecko. Ludzie szepcą inaczej.... *(patrzy błagalnie na Klarę).*

KLARA *(waha się przez chwilę)*: Z nim. Z Pendzialkiem. Zwala na Twardokęsa, bo mu o ciebie chodzi. Choćbym zaskarżyła, jak udowodnię?

LENORKA *(z ulgą)*: Zawsze czułam — wbrew temu, co rodzice — że to niedobry człowiek.

KLARA: Najgorszy to on nie jest. Nie gania, zapłaci. Jeno, że te miłostki. Jeździ do jednej w mieście — chyba słyszałaś? Przede mną zanosiło się na coś z Eryką. Choćbyś i wyszła za niego, któż wie, czy go utrzymasz przy sobie? A z wycierusem i hańba i obrzydzenie *(spluwa z odrazą).*

LENORKA: Nie! Nie wyjdę, ciotuś! Dziękuję za szczerość.

KLARA: Radabyś za agronoma?

LENORKA: Bardzo!

KLARA: Twardokęs wie?

LENORKA: I wie, i nie wie. Spotykamy się, gadamy... Nic mi nie mówił, wie, że rodzice o Pendzialku myślą, ale przecież ja też czuję... Pomówię, ciotuś, z nim o waszym strapieniu. Wszystko ułoży się inaczej.

KLARA: Cóż mi pomoże? Samego bieda tłucze.

LENORKA: Zamyśla ponoć o spółdzielni. Zmieni się życie.

KLARA: Dałby Bóg! Bo już... *(zaczyna szlochać)* ...widzisz, dziecko, bo już niesposób tak dalej...

LENORKA *(przytula do siebie szlochającą Klarę i uspokaja ją).*

(Na scenie światło przygasa i po chwili się rozjaśnia. Znajduje się tu Lenorka. Siedzi na kamieniu, oparłszy twarz na dłoniach. Po chwili słychać kroki i na scenę wchodzi Twardokęs. Spostrzega siedzącą Lenorkę i zwolna zbliża się do niej. Lenorka podnosi głowę i wpatrując się bez przerwy w Twardokęsa wolno wstaje z kamienia. Przez dłuższą chwilę stoją naprzeciw siebie w milczeniu. Lenorka pierwsza przerywa to milczenię).

LENORKA *(zduszonym głosem)*: Czekałam tu na pana, bo chciałam powiedzieć, że pana bardzo kocham.

Twardokęs *(chwyta ją za ręce i mówi szeptem)*: Lenorko!

LENORKA: To wszystko. Resztę dopowiedzieć może już tylko pan.

(Chce odejść, ale Twardokęs zatrzymuje ją).

Kutryna



ALUMINIUM

Aluminium zostało odkryte stosunkowo niedawno. Zostało ono wyodrębnione przez lekarza i chemika francuskiego Sainte-Claire Deville w 1854 r.

Wynalazca tego metalu w czasie demonstrowania aluminium w Akademii Nauk oświadczył, wiedziony genialnym przeczuciem: „...Aluminium stanie się kiedyś metalem powszechnego użytku dzięki swoim ciekawym właściwościom, dzięki nie uleganiu wpływom powietrza i kwasów, poza kwasem chlorowym, dzięki swej topliwości, pięknej barwie i właściwościom fizycznym, pozwalającym porównać je ze srebrem. Gęstość jego, tak mała, że równa się gęstości szkła, zapewnia mu specjalne zastosowanie".

Przez długi czas aluminium było drogim i rzadkim metalem, obecnie jednak zdobyło, dzięki swoim przymiotom, prawo obywatelstwa zarówno w przemyśle, jak i w przedmiotach codziennego użytku w gospodarstwie domowym.

Statystyka podaje, że w roku 1888 cała produkcja światowa aluminium wynosiła 175 ton. Na początku obecnego wieku produkcja tego metalu osiągnęła 7.700 ton, a w 1953 r. zostały już wyprodukowane na świecie 2.395.000 ton aluminium.

STRASZNE RZECZY O... KROKODYLACH

Najstraszniejsze są rzeczy, których się dobrze nie zna, które fantazja nasza wyolbrzymia czasami do niesamowitych rozmiarów. A ponieważ w Polsce krokodyle nie spacerują i plaża nadwiślańska (i każda inna) jest wolna od tych długich, potwornych cielsk, więc tym samym i sama nazwa „krokodyl" łączy się w naszym umyśle z pojęciem czegoś dzikiego i krwiożerczego. A jednak sprawa nie przedstawia się tak groźnie i nie mało przesady tkwi w obrazie jaki sobie zdołaliśmy o tym zwierzęciu wyobrazić.

Przede wszystkim krokodyl nie przepada za mięsem ludzkim. A już, żeby miał napaść na człowieka, jest wymysłem potrosze. Zdarza się coprawda, że jakiś tam stary aligator, nie będąc dosyć zwinnym, by zaspokoić swój głód polowaniem na ryby wypełza na ląd i tu poczyna myszkować. I tutaj odrobina sensacji.

Oto istnieją ludzie, którzy pływając bez broni ujarzmiają i chwytają przeszło dwumetrowe krokodyle.

Dzieje się to na bagnistych okolicach Florydy, w Panamie i Costa-Rica.

Jak to wygląda? Ot „po prostu". Rano o świcie krokodyle spoczywają w swych jamach podwodnych.

Młody, silny człowiek rzuca się do wody i znika na chwilę pod powierzchnią. Jedynym narzędziem, jakie zabrał ze sobą, był długi na 20—30 cm. kijek, zaostrzony na obu końcach. Kiedy człowiek spotka się pod wodą oko w oko z krokodylem, ten ostatni jest przez chwilę jak gdyby osłupiały ze zdumienia, wnet otwiera paszczę i jednym susem rzuca się naprzód. Czeka go jednak niespodzianka: — ręka z wyciągniętym prostopadle kijem, który wbija się w szczęki i nie pozwala ich zamknąć. Oto cały „trick". Obezwładniony „potwór" staje się zupełnie powolnym nurkowi, który ujmując cielsko krokodyla w odpowiedni sposób wyciąga go na powierzchnię. Cała siła krokodyla umiejscowiona jest w szczęce: — kiedy sparalizuje się mu jej ruchy, przestaje on być do pewnego stopnia niebezpiecznym.

Na krokodyle stare i „doświadczone" poluje się inaczej. Kiedy wygrzewa się on na piasku, zarzuca mu łowca pętlę na głowę i zaciska ją mocno, by unieszkodliwić, jak już wiemy, jego groźne szczęki. Później, oczywiście w asyście kilku ludzi, po krótkich, czy dłuższych zmaganiach, ładuje się potwora do uprzednio przygotowanej klatki. Nie trzeba dodawać, że ten i drugi rodzaj polowania wymaga nadzwyczajnej odwagi i zręczności. W razie bowiem, gdyby pętla zsunęła się lub przerwała, czeka łowcę wątpliwa przyjemność dostarczenia krokodylowi niecodziennej przekąski.

Sztuczne drzewo

Uczeni całego świata przeprowadzają różne badania i eksperymenty naukowe, mające na celu postęp i wynalazczość.

Radziecki chemik Zacharow zdejmuje ze świerka obrączkę kory szerokości 50 cm i wierci w drzewie szereg otworów, rozmieszczonych naprzemianlegle w dwóch rzędach i zbiegających się w środku pnia.

Drzewo nie pobiera wody korzeniami. Zasila się je za pomocą rurek gumowych roztworami krzemu. Po miesiącu świerk ginie przepojony krzemem i zupełnie kamienieje. Drzewo zachowuje swój pierwotny wygląd, ale jest twardsze od drewna nieprzesyconego krzemem.

Stosując różne roztwory, Zacharow otrzymał drewno niepalne, niegnijące, drewna kolorowe, naśladujące najcenniejsze gatunki drzew i posiadające niespotykane w naturze odcienie.

POCZĄTKI FILMU RYSUNKOWEGO

Film rysunkowy, to jedna z najciekawszych dziedzin kinematografii. Jej historia sięga czasów bardzo oddalonych. Na długo przed powstaniem filmu ruchomego, jeszcze w czasach starożytnych znany był Egipcjanom sekret rysunków ruchomych, wykonywanych na sposób naszych filmów rysunkowych. Rysunki te umieszczano na kolumnach pałacowych, a nawet na ścianach grobowców. Odtwarzały one poszczególną fazę ruchu rąk czyn nóg człowieka lub zwierzęcia. Podobny rysunek t. zw. „fresk ruchomy" z grobowca Bon Housana liczy blisko pięć tysięcy lat.

W okresie Wielkiej Rewolucji Burżuazyjnej we Francji wyświetlano już kreskówki ruchome za pomocą kombinacji dwóch, a nawet trzech przeźroczy szklanych. Była to dość prymitywna jeszcze t. zw. „latarnia magiczna" szeroko używana od XI wieku w Europie środkowej, dokąd przywędrowała z dalekich Chin. „Latern, Magica" była używana przez zakon jezuicki oraz w okresie inkwizycji. Za pomocą nieskomplikowanych, ręcznie wykonanych przeźroczy wpływano na psychkę pielgrzymów udających się do klasztorów.

Pierwsze kreskówki były nieruchome. Kreskówki filmowe, to znaczy narysowane lub odfotografowane na taśmie przeźroczystej, powstały po raz pierwszy we Francji, gdzie pierwsze próby były poczynione przez Reynaud'a w 1878 roku. W roku 1892 Reynaud ożywia kreskówki. Zamiast dłuższej serii obrazków malowanych na przeźroczystej taśmie przesuwającej się powoli, kolejno zatrzymującej się — powstają pierwsze prawdziwe kreskówki. Taśma obracała się w aparacie za pomocą specjalnej korby, obraz wyświetlano na ekran, za pomocą apartury będącej już połączeniem latarni magicznej i lustrzanki Reynaud'a z roku 1878.

I tak ulepszając coraz bardziej aparaturę, a także i taśmę dokonano wielkich postępów, które pozwalają dzisiaj na oglądanie pięknych, barwnych filmów rysunkowych.

O TELEWIZJI



DZIWNE ANTENY

Nie spotkacie tych anten nigdzie w Polsce poza Warszawą i jej najbliższą okolicą. Anteny te są nieco inne od zwykłych anten radiowych. Czy wiecie, co to za anteny? — To anteny aparatów telewizyjnych, odbierające audycje z jedynej narazie w naszym kraju nadawczej stacji telewizyjnej, której program jest wysyłany z masztu zainstalowanego na wieżowcu hotelu Warszawa. Ostatnio dla zwiększenia zasięgu tej stacji urządzono również centrum telewizyjne na znacznie wyższym wieżowcu Pałacu Kultury i Nauki. Nasz program telewizyjny jest na razie doświadczalny — kilkakrotnie po dwie godziny w ciągu tygodnia. Ale nasz Rząd wkłada obecnie duże wysiłki w kierunku upowszechnienia i udostępnienia telewizji szerokim masom ludzi pracy w całym kraju. Wyrazem tego jest realizacja programu rozbudowy telewizji w planie sześcioletnim oraz w nowym planie pięcioletnim.

NA CZYM FOLEGA ISTOTA TELEWIZJI?

Nie wgłębiając się w zawiłe i często niezrozumiałe określenia techniczne możemy powiedzieć, że odbiorczy aparat telewizyjny jest to takie „radio“, które nie tylko przekazuje dźwięki (mowa, śpiew, muzyka), ale równocześnie pozwala widzieć osobę występującą przed ekranem telewizyjnym. A więc telewizja to jednocześnie przesyłanie na odległość dźwięków i obrazów przy pomocy fal elektromagnetycznych. Siedząc w domu przy aparacie telewizyjnym możemy na przykład słyszeć i oglądać przebieg meczu piłki nożnej, meczu bokserskiego, możemy oglądać film, operę, sztukę teatralną, defiladę itp. A więc telewizja to świetny wynalazek. Dodajmy do tego jeszcze, że w przyszłości będzie możliwe zastosowanie telewizji nawet przy aparatach telefonicznych. Rozmawiając wtedy przy pomocy takiego aparatu telefonicznego z osobą, oddaloną być może nawet o tysiące kilometrów, będziemy się w czasie rozmowy wzajemnie widzieć, co oczywiście uczyni taką rozmowę bardziej bezpośrednią i jakgdyby przybliży nas do rozmówcy na odległość paru kroków.

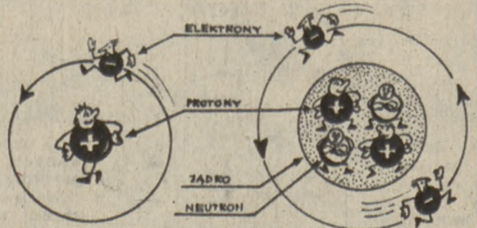
Z tego pobieżnego przeglądu widzimy, jakie nieograniczone możliwości wszechstronnego rozwoju kultury i postępu otwiera przed nami rozbudowa i upowszechnienie telewizji.

CZY TELEWIZJA TO ZUPEŁNIE NOWY WYNALAZEK

Na podstawie tego, co już powiedzieliśmy, wydawało by się, że telewizja to wynalazek ostatnich lat. Tak jednak nie jest. Człowiek już dawno marzył o tym, by poszerzyć granice zasiegu swego wzroku. Wynalazek telegrafu (Morse), telefonu (Bell), odkrycie fal elektromagnetycznych (Hertz), wynalazek radia (Popow) i inne wynalazki XIX i XX wieku pozwoliły na przenoszenie wiadomości i dzwięku na odległość. Uczeni i wynalazcy pracowali teraz tym usilniej nad przekazywaniem obrazów na odległość. Już z górą sto lat temu czyniono pierwsze próby stworzenia telewizji. Jednakowoż napotkano tu na bardzo duże trudności. Dopiero od roku 1888 datuje się pewien wyraźny postęp w tej dziedzinie. Wtedy bowiem rosyjski uczony Stoletow odkrył i dokładnie zbadał zjawisko wysyłania pod wpływem światła przez niektóre metale cząstek elektryczności ujemnej, czyli tak zwanych elektronów. Podwaliny pod rozwój nowoczesnej telewizji wypracował inny uczony rosyjski Rosing, profesor Instytutu Technologicznego w Petersburgu (jego patent z roku 1907).

CO TO SĄ ELEKTRONY?

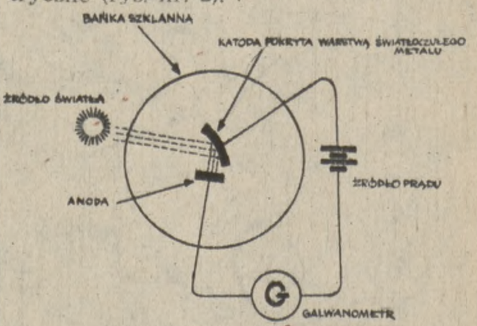
Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy omówić pokrótce budowę materii. Jak wiadomo wszystkie otaczające nas przedmioty materialne są zbudowane z tak zwanych pierwiastków chemicznych. Każdy pierwiastek chemiczny (np. żelazo, miedź, tlen, wodór) jest zbudowany z bardzo małych cząstek, zwanych atomami. Do roku 1890 uważano atomy za najmniejsze i już dalej niepodzielne cegiełki materii. Wiemy jednak, że obecnie człowiek może rozbijać atomy. Na tym bowiem opiera się wykorzystanie energii atomowej zwanej również jądrową (elektrownia atomowa bomba atomowa itp.). Otóż atomy wszystkich pierwiastków są zbudowane z jeszcze mniejszych cząstek materii, zwanych neutronami, protonami i elektronami. Pod względem elektrycznym neutron nie wykazuje żadnych własności, natomiast proton posiada dodatni ładunek a elektron — ujemny ładunek elektryczności. Protony i neutrony są zgromadzone w środku atomu i stanowią tak zwane jądro, natomiast elektrony znajdują się na zewnątrz jądra. Budowa najprostszych atomów materii jest przedstawiona na rysunku nr. 1.



Rys. nr. 1.

ODKRYCIE STOLETOWA — FOTOKOMÓRKA

Stoletow odkrył więc, że elektrony, które jak wiemy znajdują się po zewnętrznej stronie jądra, zostają wydzielane pod wpływem światła z atomów takich metali jak np. cez. Na wykorzystaniu tego zjawiska zbudowano tak zwaną fotokomórkę czyli oko elektryczne (rys. nr. 2).



Rys. nr. 2.

Fotokomórka jest to bańka szklana, z której wypompowano powietrze, szczelnie zalutowana. Wewnątrz niej znajdują się dwie elektrody (katoda i anoda), przyczym katoda jest pokryta warstwą metalu światłoczułego (np. cez, selen). Elektrody są połączone zewnątrz przewodem przez źródło prądu. O ile fotokomórka nie jest wystawiona na działanie światła, to w obwodzie nie płynie żaden prąd. Skoro więc na katodę padnie wiązka światła, to metal światłoczuły wydzieli elektrony i te pod wpływem napięcia między elektrodami popłyną do anody. Na galwanometrze odczytamy wtedy przepływ prądu. Oczywiście, że prąd ten jest tym większy im więcej światła pada na katodę. W sumie jest on jednak bardzo słaby i do przesyłania na dalsze odległości musi być wzmacniany.

D z i ę k i w ł a ś n i e t a k i e j f o t o k o m ó r c e m o ż n a z a m i e n i a ć s y g n a ł y ś w i e t l n e n a s y g n a ł y e l e t r y c z n e.

CO TO JEST PUNKTOWANIE OBRAZU?

Czy zastosowanie fotokomórki rozwiąże nam problem przesyłania obrazów drogą radiową? Wiemy, że każdy oświetlony przedmiot czy obraz w mniejszym lub większym stopniu odbija światło. To odbite światło moglibyśmy skierować do fotokomórki, tam zamienić na impulsy prądu elektrycznego i wysyłać w świat drogą radiową (przez wypromieniowanie fal elektromagnetycznych). Niestety, takie rozwiązanie nie dało by żadnego rezultatu. Okazało się bowiem, że o ile przy wysyłaniu dźwięków drogą radiową można przesyłać równocześnie różne dźwięki (choćby nawet dużej orkiestry) i ucho radiosłuchacza rozróżni całkiem dobrze różny charakter poszczególnych dźwięków, to przesyłanie obrazu jest w ten sposób niemożliwe. Oko ludzkie nie posiada zdolności uszeregowania i uporządkowania w jeden obraz przesłanych gromadnie impulsów świetlnych od różnie naświetlonych punktów katody fotokomórki. Oko ludzkie musi otrzymać impulsy świetlne uporządkowane i ułożone w konkretny obraz (każdy impuls świetlny na swoim miejscu). Aby to można było wykonać, należy podzielić przesyłany z fotokomórki obraz na szereg drobnych punktów, przenieść osobno impuls świetlny każdego z tych punktów i ułożyć w identyczny sposób na ekranie odbiorczym.

Praktycznie okazało się, że obrazy należy dzielić na około 500 000 części (punktów). Uwzględniając dalej własności oka ludzkiego należało teraz te 500 000 różnych impulsów świetlnych przekazać kolejno drogą radiową w czasie nie dłuższym niż 1/16 sekundy, aby oko ludzkie mogło zobaczyć wyraźnie przesyłany obraz. Takie zagadnienie było oczywiście przez długie lata bardzo trudne do zrealizowania.

DLACZEGO PUNKTOWAĆ OBRAZ NA 500 000 PUNKTÓW ŚWIETLNYCH?

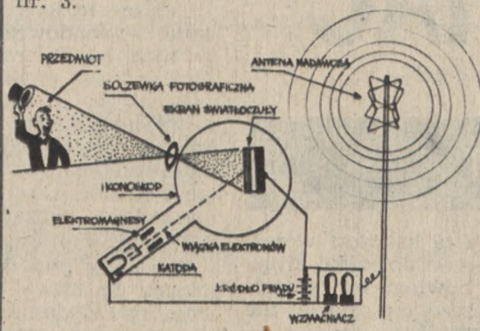
Weźmy do ręki jakąś odbitkę fotograficzną względnie zdjęcie z gazety. Przyjrzyjmy się im z bliska. Zauważymy wtedy, że fotografia składa się z szeregu drobnych punkcików o różnej jasności. Skoro jednak będziemy oglądać tę samą fotografię z dalszej odległości, to pojedyńczych punktów nie dostrzeżemy, a zobaczymy jednolity obraz. To samo możemy stwierdzić i w naszym wypadku przesyłania obrazów drogą telewizji. Aby odbierany obraz był normalnie widziany jako zwarta całość, a nie jako szereg pojedyńczych punktów, okazało się koniecznym podzielenie nadawanego obrazu na aż tak wielką ilość drobnych punkcików (500 000).

DLACZEGO OBRAZ WINIEN BYĆ NADANY W CIĄGU 1/16 CZĘŚCI SEKUNDY LUB JESZCZE SZYBCIEJ?

Jest to uwarunkowane tym, że oko ludzkie przy oglądaniu posiada pewną bezwładność, co się wyraża w tym, że obraz powstający w oku pozostaje w nim przez okres czasu równy jednej szesnastej części sekundy. A więc na nadanie 500 000 impulsów świetlnych mamy tylko taki ułamek sekudny, ponieważ wtedy przy ukazaniu się na ekranie odbiorczyn ostatnich impulsów świetlnych oko ludzkie widzi jeszcze wszystkie wcześniej nadane impulsy, widzi więc wyraźnie cały nadany obraz. Gdyby natomiast nadawanie impulsów świetlnych jednego obrazu trwało dłużej niż 1/16 część sekundy, to wtedy nie mielibyśmy możności oglądania całego i dostatecznie wyraźnego obrazu. Należy tu zaznaczyć, że zarówno w telewizji jak i w kinematografii skrócono jeszcze bardziej czas nadawania pojedyńczych obrazów do 1/25 części sekundy, przez co obraz jest bardziej wyraźny, a przy kolejnym nadawaniu całych serii obrazów ciągłości akcji i ruchów jest pełniejsza.

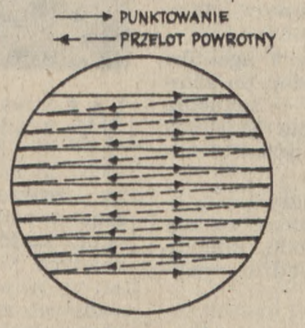
JAK NADAJE STACJA TELEWIZYJNA?

Skoro już poznaliśmy zasadę działania fotokomórki oraz zrozumieliśmy konieczność punktowania obrazu na szereg punktów i przesyłania kolejno ich impulsów świetlnych, możemy teraz omówić sposób nadawania obrazu w stacji nadawczej. Spójrzmy na rysunek nr. 3.



Rys. nr. 3.

Z lewej strony widzimy tancerza. Soczewka fotograficzna rzuca jego obraz na ekran udoskonalonej fotokomórki (ikonoskopu). Po ekranie przesuwa się z zawrotną szybkością wiązka elektronów. Szybkość przesuwania wiązki wynosi ok. 20 000 kilometrów na godzinę. Droga wiązki jest pokazana na rysunku nr. 4.

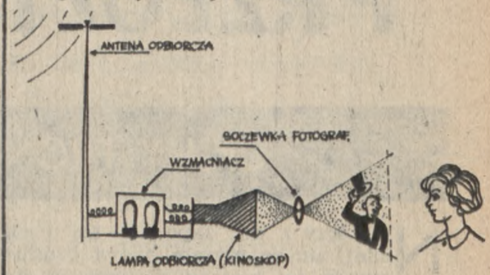


Rys. nr. 4.

Wiązka przebiega z lewa na prawo (droga punktowania obrazu), poczym zawraca z powrotem (przelot powrotny), przebiega znów na prawo nieco poniżej równolegle do poprzedniej linii punktowania i td., aż obiegnie cały obraz, wykonując w sumie tych ruchów 625 (radziecka telewizja) w ciągu 1/25 sekundy i nadając ok. 500 000 impulsów elektrycznych. Impulsy te, jak już wiemy, są różne i zależne od intensywności naświetlenia poszczególnych punktów ekranu ikonoskopu. Po wzmocnieniu (wzmacniacz) impulsy te wysyła się w przestrzeń z masztu telewizyjnego.

JAK PRACUJE APARAT TELEWIZYJNY ODBIORCZY?

Spójrzmy na rys. nr. 5.



Rys. nr. 5.

Widzimy, że zachodzą tu podobne zjawiska, jak podczas nadawania tylko w odwrotnym porządku. Antena odbiorcza chwyta przychodzące impulsy (drgania) elektryczne i przekazuje je do wzmacniacza. Wzmocnione impulsy elektryczne przechodzą następnie do lampy telewizyjnej odbiorczej (t. zw. kineskopu), której szerokie dno jest pokryte specjalnym materiałem świecącym pod wpływem elektronów (fluoryzacja). W kineskopie impulsy te, jako sterowana przez elektromagnesy wiązka elektronów, przebiegają po szerokim dnie lampy, pobudzając kolejno każdy jego punkt do świecenia. W zależności od wielkości impulsu elektronów powstaje większe lub mniejsze świecenie poszczególnych punktów. Wiązka elektronów przebiega całe dno w ciągu 1/25 sekundy wykonując 625 linii punktowań i odtwarzając w pełni nadany obraz. Obraz ten z kolei jest rzucany na ekran odbiorczy telewizora przy pomocy soczewki fotograficznej.

d. c. na str. 29



To warto przeczytać



CICHY FRONT

Niektórzy z was zapoznali się może z tą książką* wcześniej, zanim wyszła ona z druku — w ub. roku fragmenty tej historii ukazywały się bowiem na łamach naszych tygodników. Wy, którzy jej jeszcze nie znacie, nie zwlekajcie z zakupieniem lub wypożyczeniem tomiku — na pewno nie pożałujecie.

„Cichy front" nie jest powieścią, opowieścią, ani opowiadaniem. To jest reportaż, reportaż o walce polskiego kontrwywiadu z wywiadem gen. Gehlena.

Rok 1953. W różnych częściach naszego kraju, niezależnie od siebie, działają dwie siatki Gehlenowskiego wywiadu. Polski kontrwywiad demaskuje wkrótce agentów nasłanych z zachodniego Berlina. Wruck, Machura, Landvoigt, Koj i Pietruszka zasiadają na ławie oskarżonych. Kto, jak i którędy przysłał ich do Polski? Na czym polegała ich działalność w naszym kraju? Jak zdobywali sojuszników, przekazywali zagranicę zdobyte wiadomości?

Krok po kroku odtwarza Wolanowski historię 5 agentów od chwili zwerbowania ich przez niemiecki wywiad do zamknięcia w polskim więzieniu. A więc najpierw — zachodni Berlin, landsberska edukacja, granica ... stop, nie będziemy odbierać przyjemności samodzielnego śledzenia przedstawionych w książce wypadków.

— Wszystkie opisane przeze mnie fakty są prawdziwe — czytamy w przedmowie do reportażu — zmienione zostały jedynie nazwiska oficerów polskiego kontrwywiadu. Zmieniłem też nazwisko Polki, która świadomie naprowadziła agenta „ODT — 738" na zasadzkę na granicy.



W jaki sposób powstał ten reportaż? W kilka miesięcy po epilogu szpiegowskiej afery reporter powędrował jej szlakiem. Na podstawie opowiadań ludzi, którzy tropili, a później przesłuchiwali agentów, oraz na podstawie dokumentów, odtworzył całą sprawę ze wszystkimi szczegółami, od samego początku. Wiele niedomówień wyjaśniły mu materiały, przekazane polskim władzom bezpieczeństwa przez byłego zastępcę szefa ośrodka wywiadowczego w Berlinie zachodnim, który w 1954 r. zgłosił się do władz NRD z prośbą o ułaskawienie.

Historia niechlubnej działalności Wrücka, Machury, Landvoigta, Koja i Pietruszki jest jedynie małym fragmentem wielkiej, choć cichej wojny, toczonej w naszym kraju z obcym wywiadem. Niewiele wiemy o tej walce, bo front jest rzeczywiście, jak w tytule książki „cichy" — rzadko dobiegają z niego odgłosy wystrzałów. Niewiele wiemy o poświęceniu ludzi, którzy bronią nas przed poważnym niebezpieczeństwem. Ta książka jest jednocześnie hołdem złożonym ich pracy.

„Pisząc tę książkę przez półtora roku ślęczałem nad dziejami wywiadowczych siatek Gehlena w Polsce. Znalazłem w nich hańbę, zakłamanie i bestialstwo, — owiane grozą śmierci" — pisze Wolanowski w słowie od autora. — „Uważając, iż każdy człowiek w Polsce powinien wiedzieć o walce polskiego kontrwywiadu z wywiadem Gehlena czy innymi organizacjami szpiegowskimi, działającymi przeciw naszemu krajowi — o walce, która dzień po dniu, godzina po godzinie rozgrywa się wokół nas na „cichym froncie", pragnąłem ukazać jak najdokładniej jedną z rozegranych tam bitew".

Na duży plus książki dodać wreszcie należy, że autor ukazał tę bitwę bardzo plastycznie, że potrafił przez cały czas opowiadania utrzymać czytelnika w dużym napięciu, że język jego reportażu jest świeży, zwarty, bezpośredni.

H. P.

* Lucjan Wolanowski. Cichy front. Iskry 1955, stron 243, cena 8,80 zł.

OPOWIEŚĆ O NIEZWYKŁYM WYCZYNIE RADZIECKICH CZOŁGISTÓW

W okresie, toczących się podczas ostatniej wojny, między wojskami radzieckimi a hitlerowskimi walk na Ukrainie, jedna z radzieckich kompanii czołgów otrzymała nieco niezwykłe niecodzienne zadanie. Polegało ono na tym, by przedrzeć się przez pierwszą linię frontu a następnie niszcząc napotkane, po drodze, oddziały wroga, przebić się na około sześćdziesięcio kilometrową odległość w głąb terenów zajętych już przez hitlerowców. Tu znajdował się ostateczny cel wyprawy — ważny węzeł kolejowy. Plan dowództwa przewidywał zniszczenie tej stacji, co poważnie zahamowałoby nieprzyjacielski transport.

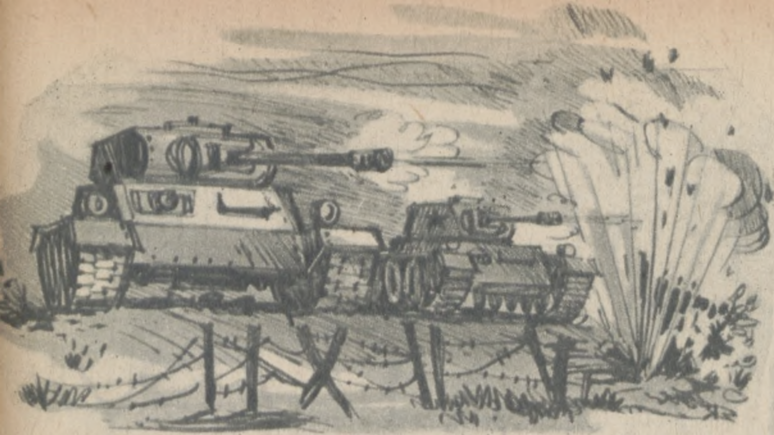
Wydana ostatnio, skromnie wyglądająca książka radzieckiego autora, Maksakowa — „Głęboki Raid" — jest historią tego odważnego wypadu na nieprzyjacielskie tyły, opowieścią o ofiarności i patriotyźmie żołnierza, o mądrej przenikliwości dowódcy.

Maksakow pisze bezpośrednio i prosto nawet mówiąc o rzeczach ważnych, wystrzega się patosu i jakiejkolwiek przesady — na tym polega jego duże, pisarskie osiągnięcie.

Bohaterem powieści jest właściwie ogół uczestników raidu. Przy każdej okazji, autor podkreśla siłę i znaczenie zbiorowego wysiłku zarówno dowodzących jak i podwładnych, i zaznacza wagę zgodnego współdziałania.

Książka zapoznaje także bliżej czytelnika z kilkoma postaciami żołnierzy radzieckich, sprawiając, że takich bohaterów „Głębokiego Raidu" jak kompanijnego gawędziarza i wesołka — Owczarenkę, doktora Nikityna czy samego głównodowodzącego działaniami — będziemy po przeczytaniu książki jeszcze długo pamiętać.

Kierowanie walką — Maksakow ukazuje całą trudność tej sztuki oraz jej wielkie znaczenie. Umiejętność dowodzenia to sprawa niełatwa i ciekawa, dlatego właśnie powieść jest pełna napięcia i dramatyzmu, obfituje w konflikty, uczy a zarazem intryguje czytelnika i zaciekawia go.



Pomyślcie tylko: ile trudności łączy się z taką wyprawą. Trzeba wybrać ludzi, ludzi, którzy nie stchórzą, nie zawiodą pokładanego w nich zaufania. W wyborze tym, dowódca nie może się pomylić. I potem całe mnóstwo trudnych sytuacji i decyzji. Na jakim odcinku przerwać front? Kiedy unikać potyczki z wrogiem a kiedy ją przyjmować? Albo taka sprawa: w sąsiedniej, zajętej przez okupanta wsi został uwięziony, jeden z wysłanych na patrol żołnierzy radzieckich. Co robić? Czy z miejsca atakować, nie licząc się z możliwością dużych strat, czy czekać na bardziej odpowiedni moment do ataku? Na każdym kroku, dowódca spotyka tego rodzaju trudności i zawsze powinien umieć wybrnąć z sytuacji.

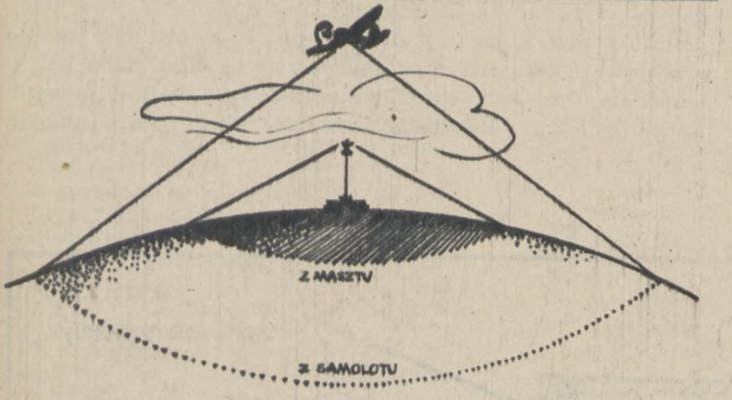
W książce Maksakowa, sprawa ta znajduje b. prawdziwe odbicie.

Radziecka powieść wojskowa ma już u nas określone tradycje. Wystarczy wymienić takie np. powieści o ostatniej wojnie, jak „Szosa Wołokołamska" — Becka czy „Dnie i Noce" Simonowa. Rzecz jasna trudno do nich porównywać małą książeczkę Maksakowa. Ale napewno jest to jeszcze jedna powieść, przyczyniająca się do poznania ludzi radzieckich, jest to jeszcze jeden fragment dziejów II wojny światowej wzbogacający naszą wiedzę o tym pamiętnym dla nas okresie jeszcze świeżej historii.

B. P.

O TELEWIZJI

d. c. ze str. 25



Rys. nr 6

Oprócz aparatury telwizyjnej tak w stacji nadawczej jak i odbiorniku telewizyjnym znajduje się kompletna aparatura radiowa umożliwiająca równoczesne nadawanie i odbieranie dźwięków.

DLACZEGO TELEWIZJA MA MAŁY ZASIĘG?

Do przesyłania programów telwizyjnych najlepiej nadają się fale elektromagnetyczne ultrakrótkie o długości 1—10 m. Wadą tych fal jest jednak to, że stosunkowo łatwo zostają zatrzymane na każdej przeszkodzie (zasłonie). Praktycznie program telwizyjny można odbierać najwyżej w takiej odległości od stacji nadawczej, jak daleko można dojrzeć ze szczytu masztu nadawczego, to znaczy do linii horyzontu. Wynosi to przeciętnie około 50 km. Im wyższy maszt — tym dalszy zasięg. Również gdyby stację telewizyjną umieścić wysoko na samolocie albo na balonie, zasięg jej byłby większy (patrz rys. nr. 6).

Stąd rozumiemy już teraz, dlaczego anteny telewizyjne spotykamy tylko w Warszawie i jej najbliższej okolicy.

NAJNOWSZE OSIĄGNIĘCIA TELEWIZJI

Telewizja barwna.

W ostatnich latach udało się uczonym opracować technikę nadawnia obrązów barwnych, co znacznie podnosi atrakcyjność telewizji. W tym celu zastosowano specjalne filtry barwne, których umieszczenie pokazano na rysunku nr. 7.

UDOSKONALENIE LAMPY TELEWIZYJNEJ (IKONSKOPU).

Do niedawna występowanie przed ekranem telewizyjnym było połączone z dużymi niewygodami, ponieważ dla otrzymania wyraźnego obrazu przedmiot musiał być bardzo silnie naświetlony przy pomocy potężnych reflektorów (oślepiające światło, silne nagrzanie pomieszczenia). Ostatnio jednak wynaleziono takie lampy telewizyjne, które pozwalają na nadawanie obrazów nawet przy świetle księżyca.

CZYM CHARAKTERYZUJE SIĘ DOBROĆ I JAKOŚĆ TELEWIZJI?

O jakości obrazów telewizji decyduje fakt na ilu liniach punktowania nadaje się obrazy telewizyjne. Im więcej linii punktowania, tym obraz jest lepszy. Radziecka telewizja pod względem jakości obrazów wyprzedziła telewizje innych krajów w tym również i amerykańską i bezspornie jest obecnie najlepszą w świecie Moskiewskie centrum telewizyjne zostało unowocześnione i nadaje obrazy na 625 liniach, co odpowiada rozbiciu przesyłanych obrazów na węcej niż 500 000 punktów.

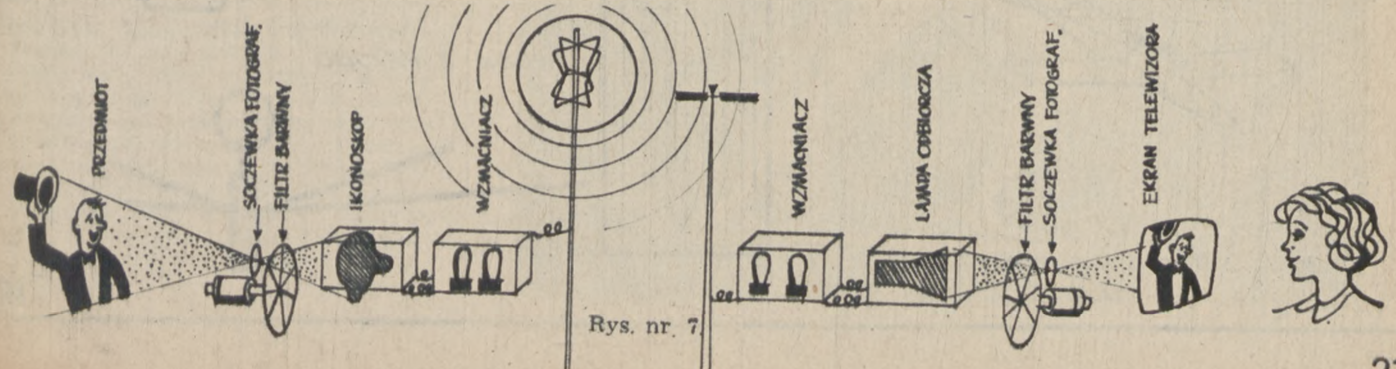
Stany Zjednoczone A. P. choć posiadają dobrze rozwiniętą sieć stacji nadawczych i największą liczbę odbiorników, posiadają znacznie niższą jakość nadawania. Programy amerykańskie są nadawane na 525 liniach.

Telewizja angielska nadaje na 405 liniach. U nas w Polsce telewizja będzie pracować na 625 liniach, podobnie w Czechosłowacji.

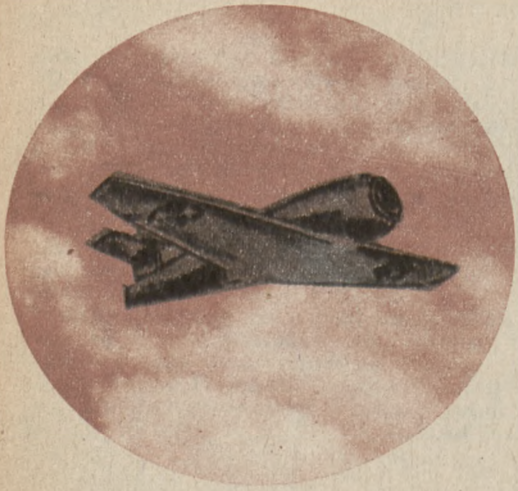
Obecnie Związek Radziecki przystąpił do zwiększenia masowej produkcji tanich odbiorników telewizyjnych oraz rozbudowy sieci stacji nadawczych.

Na koniec należałoby nadmienić, że wśród dużej liczby uczonych, którzy pracowali nad rozwojem telewizji, nie zabrakło również uczonego polskiego. **Był nim Polak Nipkow, urodzony w Sopocie i pracujący w Niemczech. Opracował on mechaniczny sposób punktowania obrazów jeszcze w roku 1884.**

Inż. Franciszek Mucha



Rys. nr 7



MODEL LATAJĄCY
o napędzie odrzutowym

Stosunkowo prostymi środkami możemy zbudować model latający, wyposażony — tak jak wszystkie współczesne samoloty — w napęd odrzutowy.

Plan modelu podany jest w wielkości naturalnej, a więc jak widzimy, jest to model mały i nietrudny do budowy.

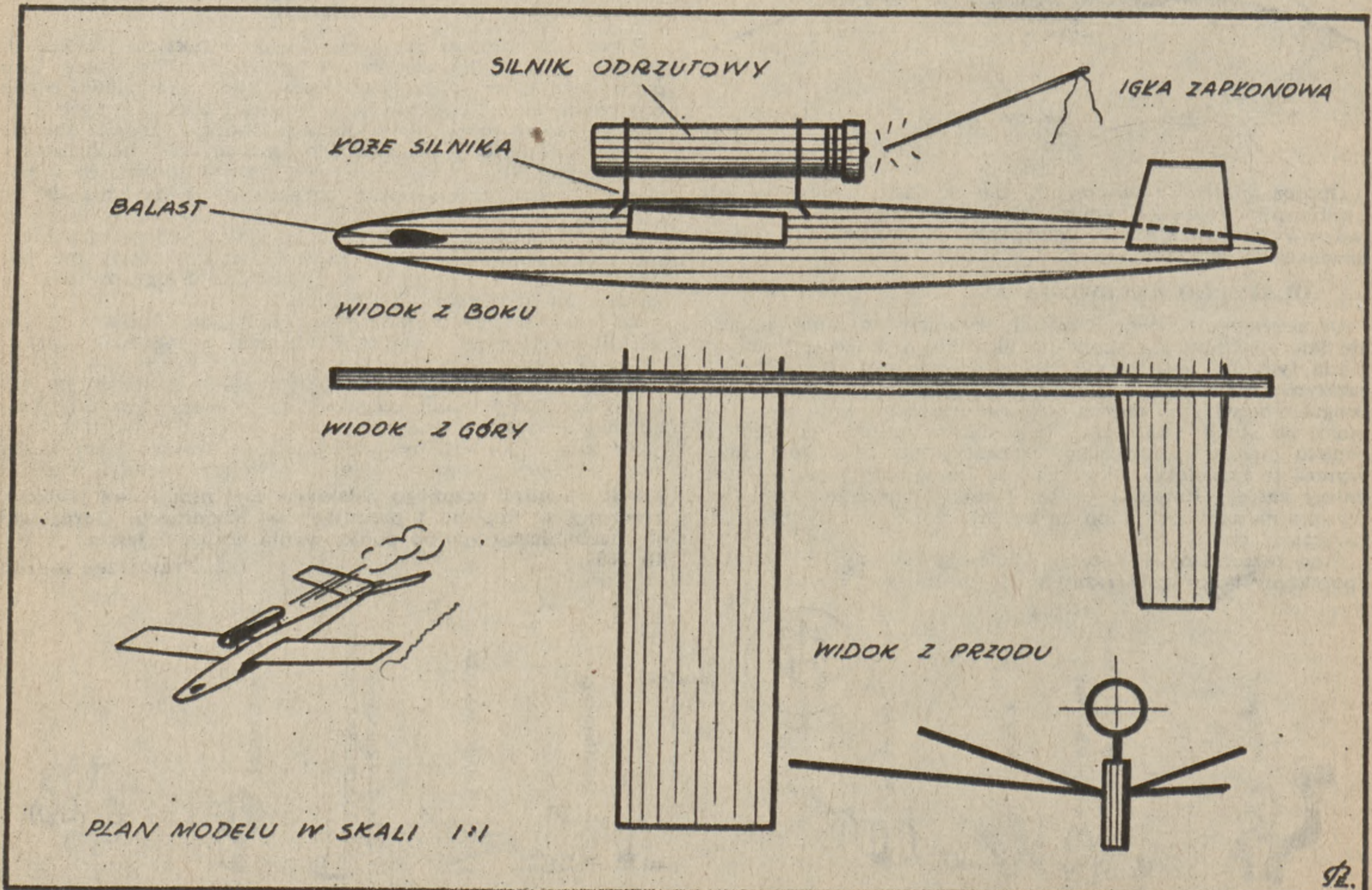
Kadłub modelu wycinamy ze sklejki o grubości 3—4 mm, a skrzydła i statecznik ze sklejki 0,8—1 mm. Kto nie posiada sklejki, może z równym powodzeniem zrobić model z drewna sosnowego. Wówczas nasz model będzie nawet lżejszy, niż ze sklejki.

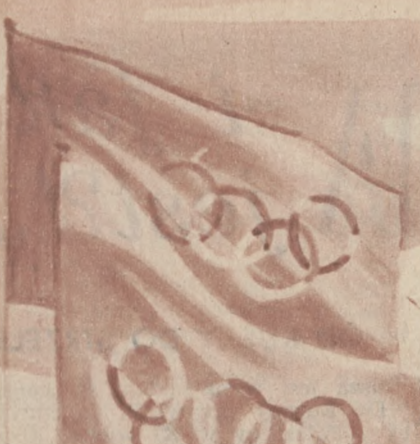
Skrzydła i statecznik poziomu wklejone są do kadłuba po uprzednim podgięciu ich wg rysunku. W przedniej części kadłuba umieszczamy niewielki ciężarek jako wyważenie modelu. Silnik odrzutowy naszego modelu składa się z fiolki aluminiowej (po tabletkach od bólu głowy). Fiolka taka musi posiadać dobrą zakrętkę. Do fiolki wkładamy kilka centymetrów taśmy filmowej (kinowej) tak, aby szczelnie ją wypełniała. Jeśli teraz szczelnie dokręcimy zakrętkę i rozżarzoną igłą przekłujemy jej denko, to od igły zacznie się tlić film i przez otworek będzie się wydobywać smużka dymu. Gazy, które nagromadzą się w rurce podczas spalania filmu, dadzą siłę odrzutu wystarczającą do napędu modelu. Gdy silnik zacznie działać wypuszczamy model z ręki. Model powinien wzbić się do góry, wykonując po spaleniu paliwa — filmu — lot ślizgowy.

Jeśli mamy kilka zakrętek to do każdego lotu można przekłuwać nową zakrętkę, zachowując tę samą fiolkę.

Pierwsze próby z silnikiem odrzutowym należy przeprowadzić ostrożnie, nie kładąc zbyt dużo filmu do zbiorniczka.

P. E.





ROK 1956
rokiem olimpijskim

Każdy sportowiec, a także tzw. kibic sportowy przeżywał już w tym roku wiele emocjonujących chwil. Coraz częściej bywamy na ciekawych zawodach, czytamy interesujące sprawozdania i felietony o przebiegu spotkań na ringach, boiskach piłkarskich i trasach narciarskich, słuchamy transmisji radiowych z krajowych, międzypaństwowych i międzynarodowych walk sportowych. Im bliżej do letnich miesięcy, tym bogatszy będzie kalendarz sportowy. Gdyby jednak ogłosić ankietę z pytaniem: które tegoroczne imprezy sportowe są najciekawsze, to na pewno najwięcej głosów padłoby na XVI igrzyska olimpijskie.

Uczestnicy pierwszej części tych igrzysk, narciarze i łyżwiarze, dopiero co rozjechali się z pięknej , włoskiej miejscowości Cortino do swych krajów, ale gorączka olimpijska nie minęła. Najlepsi spośród najlepszych lekkoatletów, bokserów, kolarzy, gimnastyków, szermierzy, pływaków, strzelców i mistrzów w innych dyscyplinach spotkają się za kilka miesięcy na stadionach, pływalniach, torach kolarskich, ringach bokserskich i planszach w odległym od nas o tysiące kilometrów australijskim mieście Melbourne.

Rok 1956 jest więc dla sportowców wszystkich krajów i kontynentów okresem wielkich przeżyć. Nazywamy go rokiem olimpijskim.

Takich lat było już wiele, zarówno w historii świata, jak i w historii sportu. Każdy z nich wzbogacał piękną tradycję, zapoczątkowaną przez starożytnych Greków. Powtarzane każdego roku przestępnego greckie igrzyska olimpijskie nie tylko wyłaniały rekordzistów w biegach i atletyce, w rzutach dyskiem i oszczepem, nie tylko wyróżniały mistrzów w gimnastyce, lecz uspakajały też waśnie między poszczególnymi państewkami greckimi, stawały się świętami pokoju. Każdy śmiałek, zakłócający to zawieszenie oręża, był surowo karany. Znicz zapalany na czas igrzysk na górze Olimp był symbolem pojednania.

Był czas, kiedy piękny zwyczaj grecki poszedł w zapomnienie. Po wielu wiekach wskrzesiła go dopiero inicjatywa Francuza Pierre de Coubertin, orędownika tej pięknej idei, zapoczątkowanej przez starożytnych Greków. Osiągnął on swój cel w 1895 roku, kiedy to na odbudowanym stadionie ateńskim spotkali się sportowcy różnych krajów i narodów. Spotkanie to dało początek historii nowoczesnych igrzysk olimpijskich.

Wydawałoby się, że odtąd nic już nie przerwie tej pięknej tradycji. Bywało jednak inaczej. Wybuchła w 1914 roku 1 wojna światowa uniemożliwiła organizację igrzysk w okresie sześciu lat. Dopiero w 1920 roku mogły się odbyć kolejne. VII-me igrzyska, w belgijskim mieście Antwerpii. Tu po raz pierwszy zabłysnął sławą długodystansowy biegacz fiński Nurmii, bohater kilku następnych olimpiad.

Nastąpił rok 1936, a wraz z nim igrzyska w Berlinie. Szalejący wówczas faszyzm hitlerowski pragnął wykorzystać spotkanie sportowców wielu kontynentów dla swych propagandowych celów. Niecny plan nie udał się, a delegaci różnych krajów do dziś pamiętają chwilę, kiedy Hitler umykał ze swej loży, gdy trzeba było wręczyć medal zwycięzcy biegów krótkich — murzynowi Jesse Ovensowi. Faszyści nie mogli znieść uroczystości wyróżniania sportowca o innym niż białym kolorze skóry.

II-ga wojna światowa znów przeszkodziła organizacji kolejnych XII i XIII igrzysk. Dopiero, gdy zwycięstwa Armii Radzieckiej położyły kres wojnie — młodzież świata mogła wrócić do uprawiania sportu.

Jak 28 lat temu zaczął swe triumfy sportowe Nurmi, tak teraz, na pierwszych powojennych igrzyskach w Londynie, rozpoczął swą sławną drogę sportową Emil Zatopek.

Ostatnie, XV igrzyska, odbyły się cztery lata temu w stolicy Finlandii — w Helsinkach. Igrzyska te stały się prawdziwą manifestacją pokoju i przyjaźni, szczególnie dzięki temu, że poraz pierwszy wzięli w nich udział sportowcy radzieccy. Były to igrzyska w historii najliczniejsze.

Do Helsinek przyjechało ponad 7 tysięcy sportowców świata — przedstawicieli 70 krajów. Charakterystyczną cechą tych igrzysk był szeroki udział sportowców w podstawowych dyscyplinach sportu. Tak np. uczestniczyło w nich 1052 lekkoatletów, 376 gimnastyków, 510 atletów. Na olimpiadzie, jaka odbyła się w 1948 roku w Londynie, sportowcy amerykańscy łatwo uzyskali najlepsze wyniki, gdyż nie napotkali wówczas odpowiedniego przeciwnika. W Helsinkach spotkali się z zawodnikami Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, którzy nie tylko okazali się doskonałymi partnerami, ale w większości wypadków przewyższyli reprezentantów USA.

Sportowcy radzieccy osiągnęli wspaniałe sukcesy i pierwsze miejsce. Zdobyli łącznie 106 medali olimpijskich, w tej liczbie 15 medali złotych, i ustanowili 2 rekordy świata, 5 rekordów olimpijskich, 3 rekodry europejskie i 13 rekordów ZSRR. To była prawdziwa manifestacja osiągnięć sportowych kraju socjalizmu.

d. c. na str. 31



jak to było?.. BROŃ PALNA i jak jest?!..

NA PRZYKŁAD PROCA

Na pewno każdy z Was zdziwi się słysząc, że między procą starożytnego wojownika perskiego a karabinem istnieje podobieństwo. A jednak tak jest. Proca jest dalekim przodkiem karabina. Jedno i drugie jest bronią miotającą, tylko, że karabin wyrzuca pocisk pod wpływem dużego ciśnienia nadając mu kierunek lufą, a kamień wyrzucany był z procy siłą ramion starożytnych wojowników.

Proca jako broń wykształciła się wśród dzikich plemion. Pierwotnie służyła do walki ze zwierzem, potem znalazła zastosowanie w walce między ludźmi. Czy była to broń skuteczna? Historyk grecki Diodor Sycylijski pisał kiedyś, że „nie było hełmu ani tarczy, której by ona nie przebiła".

Budowa jej była prosta. Składała się ze sznurka lub rzemienia półtorametrowej długości, z plecionym, lub naszytym rozszerzeniem w środku. Jeden koniec procy był gładki, drugi posiadał pętlę, którą nakładało się na rękę. By rzucić kamieniem składano procę na pół, a pośrodku — w rozszerzonym miejscu — umieszczono pocisk. Następnie dobrze go rozkręcano i wypuszczano z ręki gładki koniec procy. Pocisk, wypchnięty siłą odśrodkową, leciał na odległość do dwustu metrów. Ulepszając tę broń wprowadzono pociski z żelaza, brązu lub ołowiu.

Poeta rzymski Wergiliusz, któremu nie brak było fantazji, zapewniał, że pocisk leciał z taką szybkością, że ołów topił się w powietrzu. A celność procy? Persowie trafiali do człowieka z odległości stu metrów.

OD KUSZY DO STRZELBY

Kusza jest wynalazkiem saraceńskim. Do Europy przywieźli ją krzyżowcy z Palestyny w XI wieku. Broń ta przypominała łuk, przymocowany do drewnianego łoża z kolbą. Miała specjalne urządzenie do napinania cięciwy, sporządzone z dźwigni i zębatych kół. Cięciwę napinano przez pokręcenie korbą, opierając nogę na specjalnym strzemieniu. Celując, kuszę przykładało się kolbą do ramienia, powoli spuszczając cięciwę. Z czasem wymyślono mechanizm spustowy, skonstruowano też muszkę i celownik ze szczerbiną. Łuk do drogich kusz robiono ze stali. Płatnerzy wymyślili również magazynek, w którym mieściło się kilka strzał. I wreszcie skonstruowano kusze z lufą do wyrzucania kul. Nazywała się ona arkabuzem. Tu istniało już duże i bezpośrednie podobieństwo do strzelby. Dlatego kusza i arkabuz należą do najbliższych przodków broni palnej. Z powodzeniem konkurowały one z rycerskim łukiem i kopią. Mieszczanie i chłopi nieraz używali ich w walce z samowładztwem panów. Toteż skarżyli się oni, że „ordynarne chłopstwo... ośmiela się podnosić rękę na swoich prawowitych władców", i że „nawet zwykły świnopas strzela z kuszy".

ROZWÓJ BRONI STRZELECKIEJ

Dotychczas najbardziej powszechną bronią indywidualną były karabiny. W ciągu wieków były one nieustannie ulepszane. Muszkiet lontowy wyparty został przez fuzję o gładkich lufach. Nie była to jeszcze broń doskonała. Nie była celna, a wiadomo, że sam huk nie jest straszny. Dlatego kolejnym udoskonaleniem — poza wynalezieniem prochu bezdymnego, rtęci piorunującej, jako detonatora dla wywołania wybuchu prochu i skonstruowaniem kapiszona — było wprowadzenie gwintowanych luf, co zapewniało większą nośność i celność pocisków. Gwinty w lufach ukazały się w pierwszych dziesiątkach XVII wieku. Dalsze udoskonalenia broni doprowadziły do skonstruowania karabinów strzeleckich takich, jakie znamy dziś a więc konstruktora Mosina, Nagana, Mausera i innych.

Doświadczenie jednak uczyło, że przewagę osiąga ten, kto w ciągu minuty odda więcej strzałów, kto posiada większą siłę ogniową. Dlatego już w toku II wojny światowej zwykły karabin był mocno wypierany przez karabiny automatyczne i półautomatyczne oraz pistolety maszynowe. Pracowały nad tym zastępy konstruktorów. Wystarczy przypomnieć Wam najbardziej znanych: Diegtiarewa, Koleśnikowa, Konowałowa, Tokarewa i Fiodorowa. Po wojnie opracowano już wiele nowych rozwiązań konstrukcyjnych.

Na czym polega zaleta broni automatycznej? Broń automatyczna umożliwia spotęgowanie siły ognia przez zwiększenie szybkostrzelności. Wyręcza żołnierza od czynności każdorazowego załadowywania i ściągania języka spustowego. Sama automatycznie ładuje kolejne naboje. Tak więc po ostatniej wojnie zwykłe karabiny są we wszystkich armiach coraz bardziej rugowane, a na ich miejsce wprowadza się karabiny półautomatyczne, automatyczne i pistolety maszynowe.

Z pistoletu maszynowego jak i karabinka automatycznego można prowadzić ogień pojedyńczy i seriami. Do zalet tej broni należy zdolność prowadzenia skutecznego ognia ciągłego, duża pojemność magazynków oraz stosunkowo lekka amunicja, co umożliwia żołnierzowi noszenie jej w większej ilości.

Istnieje również tendencja zmodernizowania amunicji i dostosowania jej zarówno do karabina, jak i do nowych konstrukcji karabinków automatycznych i ręcznych karabinów maszynowych. Ma ona być znacznie lżejsza od dotychczasowej. Wprowadzenie jednego rodzaju amunicji jest szczególnie wygodne z uwagi na większą łatwość zaopatrywania wojsk.

Nowym ulepszeniom ulegają również ciężkie karabiny maszynowe. Rugowany jest niepraktyczny sposób chłodzenia wodą. Podstawy produkuje się znacznie lżejsze i zapewniające większą ruchliwość oraz umożliwiające prowadzenie ognia do celów naziemnych i powietrznych. Jest to dalszy krok naprzód, jeśli uprzytomnimy sobie na przykład pierwowzór karabina maszynowego Maxim z 1883 roku, który podobny był raczej do armaty.

W warunkach współczesnej wojny wzrosła rola broni pancernej. W uzbrojeniu pododdziałów strzeleckich znajduje to odbicie w coraz większym stosowaniu broni przeciwpancernej, granatników różnych rodzajów. Tak więc na przykład na uzbrojeniu armii znajduje się 88,9 mm granatnik M-20.

Ciężar — 6,8 kg., długość 1530 mm, ciężar granatu — 3,8 kg, skuteczny zasięg przy strzelaniu do czołgów — 200 m, szybkostrzelność — 3—4 strzały na minutę, maksymalna grubość przebijanego pancerza — 280 mm, obsługa 2 ludzi.

Przy ocenianiu obecnego rozwoju broni strzeleckiej widać wyraźnie tendencje do zwiększenia siły ogniowej pododdziałów przez zapewnienie szybkostrzelności broni. Ponadto dąży się do zmniejszenia jej ciężaru, podwyższenia stopnia niezawodności działania mechanizmu oraz zmodernizowania amunicji, w celu dostosowania jej do różnych rodzajów środków ogniowych piechoty.

Opr .R. S.

d. c. ze str. 27

Popatrzmy teraz na nasz udział i osiągnięcia olimpijskie. Reprezentanci Polski brali udział w kolejnych olimpiadach od 1920 roku.

Na tablicach wyników Olimpiady 1928 roku zapisane jest nazwisko Haliny Konopackiej, ówczesnej mistrzyni świata w rzucie dyskiem. Do kronik olimpijskich weszły na zawsze nazwiska długodystansowca Janusza Kusocińskiego i sprinterki Stanisławy Walasiewiczówny — zwycięzców z Los Angeles. Ta trójka zdobyła złote medale.

Nasi mistrzowie olimpijscy z okresu przedwojennego dwudziestolecia są tym bardziej godni uznania, że doszli do swych sukcesów. w bardzo trudnych warunkach, gdyż w !Polsce brak było troski o rozwój kultury fizycznej. W 1952 roku na XV Olimpiadzie w Helsinkach, złoty medal olimpijski zdobył nasz bokser wagi półśredniej — Zygmunt Chychła. Droga zwycięstwa wiodła naszego reprezentanta przez ciężkie walki eliminacyjne z takimi sławami pięściarstwa, jak Torma z Czechosłowacji i Szczerbakow ze Związku Radzieckiego. Wśród zwycięzców na ringu znalazł się też Aleksy Antkiewicz i gimnastyk Jerzy Jokiel — zdobywcy drugich miejsc.

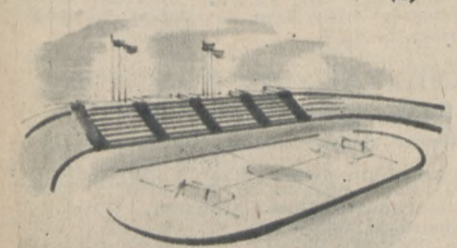
To nie wszystko. Nasi reprezentanci przywieźli prócz tego z igrzysk jeszcze 6 srebrnych i 14 brązowych medali. Wśród tej czołówki znalazł się też po raz pierwszy w dziejach narciarstwa polskiego nasz zawodnik Franciszek Groń.

Kiedy to było? Właśnie tej zimy, na XVI zimowych igrzyskach olimpijskich zorganizowanych tym razem w Cortinie — we Włoszech. Igrzyska te były pierwszą częścią wielkiego programu i wstępem do dalszych, tegorocznych spotkań olimpijskich, przygotowywanych w dalekiej Australii w mieście Melbourne. Pojadą tam przedstawiciele kilkudziesięciu krajów.

Na XVI igrzyskach znów będą padać rekordy. Obok sportowców Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, obok najlepszych z pięciu części świata, staną i nasi reprezentanci — lekkoatleci, bokserzy, strzelcy, pływacy, szermierze. Wezmą udział w szlachetnej walce sportowej, by nie tylko rozsławiać nasz dorobek sportowy, ale by razem z wielką rodziną sportowców manifestować pragnienie dalszego, pokojowego budownictwa, swą wolę utrwalenia pięknych tradycji, zapoczątkowanych w dawnych wiekach na stadionie ateńskim.

Zadaniem wszystkich sportowców naszego kraju jest udział w pogłębianiu tych tradycji, zdobywanie nowych rekordów sportowych i włączanie do życia sportowego, do kół LPŻ i LZS, coraz szerszych zastępów dziewcząt i chłopców.

(z)



List z Warszawy o teatrze

DRODZY KOLEDZY!

W pierwszym moim liście pragnę opowiedzieć Wam o wrażeniach, jakie odniosłam bawiąc ostatnio w Teatrze im. Domu Wojska Polskiego na przedstawieniu sztuki Bertolda Brechta pt. „Dobry człowiek z Seczuanu".

Bertold Brecht jest czołowym, postępowym dramaturgiem niemieckim i zarazem dyrektorem słynnego zespołu teatralnego w Berlinie wschodnim, który nazywa się „Berliner Ensemble". Szczęśliwi warszawiacy mieli możność podziwiać ten wspaniały zespół na jego gościnnych występach w Warszawie. Otóż sztuka Bertolda Brechta „Dobry człowiek z Seczuanu" przenosi nas do jednej z prowincji w Chinach. Trzej bogowie chińscy zstąpili z niebios, by znaleźć na ziemi dobrego człowieka. Po locie na różowej chmurce znaleźli się w miasteczku pełnym domów i bogatych sklepów. Ale dostojnymi przybyszami zajął się tylko jeden jedyny biedny nosiwoda. Pragnął on gorąco znaleźć odpowiedni nocleg dla bogów, lecz cóż — sam mieszkał niemal w norze, a zamożniejsi obywatele miasta przez skąpstwo woleli udawać, że o niczym nie wiedzą i czym prędzej pozamykali się na kłódki w swoich mieszkaniach. W całym mieście tylko jeden człowiek zgodził się bezinteresownie udzielić bogom gościny, ale ten był właśnie najbiedniejszym wśród biednych, bo nawet nie był panem własnego ciała... „Dobrym człowiekiem" okazała się młoda, nieszczęśliwa prostytutka, którą nazajutrz właścicielka domu miała wyrzucić z mieszkania za zaległe komorne.

Bogowie, litując się nad dziewczyną, dali jej nazajutrz pewną sumę pieniędzy. Było z tego powodu najpierw trochę radości, a potem wiele kłopotów. Bo na wieść o pieniądzach do domku Szen-Te zaczęły ściągać tłumy nędzarzy. Bliżsi i dalsi znajomi najpierw wchodzili do izby z pokornymi minami, a wkrótce tak się rozpanoszyli, że dla nieśmiałej Szen-Te zabrakło już kąta pod własnym dachem. Wówczas ocknęły się w niej złe instynkty... Zamienia się w mężczyznę — Szui-Ta — rozpędza całe to tałatajstwo i spłaca właścicielkę domu. Nagle poznaje młodego, bezrobotnego lotnika, któremu oddaje swe serce. Lotnik jednak, prócz serca, chce pieniędzy, Jego miłość jest interesowna.

W duszy dziewczyny zaczyna się walka. Szen-Te wierzy, że miłością swą odmieni chłopca, natomiast jej drugie „ja" — Szui-Ta — trzeźwo ocenia sytuację i jasno widzi, że w tym pojedynku zwycięży pieniądz. Zakończenie sztuki wykazuje, że rację miał Szui-Ta. Lecz gdy zapada kurtyna, przed scenę wychodzi aktor i pyta publiczności: dlaczego tak się stało, że miłość dziewczyny przegrała? My, widzowie, dobrze wiemy, dlaczego przegrała. Lotnik był bezrobotny. Pieniądze były mu potrzebne na przekupienie ludzi, którzy obiecali mu dopomóc w otrzymaniu posady. Dziewczyna zresztą podobała mu się. Cóż jednak miał robić? W ustroju kapitalistycznym, gdzie o wszystkim decyduje pieniądz, nie ma miejsca na czystą miłość. Oto morał tej pięknej, wzruszającej sztuki.

Drodzy koledzy! Opisałam Wam w wielkim skrócie treść sztuki, o której na pewno wiele jeszcze będziecie mogli przeczytać, śledząc prasę codzienną. Gdy wychodziłam z teatru, byłam pod wielkim wrażeniem całej sztuki, a zwłaszcza przemówiła mi do serca gra artystki, która odtwarzała na scenie postać Szen-Te i zarazem Szui-Ta. Obie te role grała Halina Mikołajska. Jest to młoda aktorka, obdarzona nadzwyczajnym wprost darem wczuwania się w uczucia i myśli ludzkie. Jej zachowanie i sposób mówienia są tak szczere i pełne prostoty, że — patrząc na nią — zapominałam, że jestem w teatrze, podczas gdy często obserwując grę mniej dobrych aktorek, bez przerwy pamiętam o tym, że patrzę na scenę i że to wszystko dzieje się „na niby", umownie. Tu zaś zapominałam o tej umowności. Czułam tylko wielką prawdę ludzkiego wzruszenia, a dzięki temu sztuka przemówiła do mnie i zmusiła mnie do wielu rozmyślań.

Nie wiem, co Wy o tym sądzicie, lecz ja jestem zdania, że to jest właśnie w teatrze najcenniejsze: żeby przedstawienie wywołało w widzu takie właśnie prawdziwe, silne wzruszenie, które z kolei wywołuje w człowieku burzę myśli, pragnień, tęsknot... I kto wie, czy to nie jest zadaniem sztuki w ogóle. i muzyki, i pięknego obrazu, i filmu — wywoływanie w człowieku nowych myśli, nowych — szerokich horyzontów.

Teatr im. Domu Wojska Polskiego jest wspaniałym, zawodowym teatrem. Lecz powiedzcie, czyż nie można takich wzruszeń wywołać również przy pomocy skromniejszych środków teatralnych? Ja osobiście znam sporo amatorskich zespołów teatralnych, które pracując w bardzo skromnych warunkach, wiele dobrego zdziałały. **Przy najbliższej okazji opowiem Wam o kilku zespołach amatorskich, które bez sceny, bez wspaniałych dekoracji i, oczywiście, bez takich uczonych i wielkich artystek, jak Halina Mikołajska, potrafiły jednak na swojej małej scenie „czarować" ludzi — przekazywać im moc pięknych wrażeń i mądrych doświadczeń życiowych.**

Entuzjastka teatru

BLASKI i CIENIE

BRAWO MŁODZIEŻ KIELECKA!

Z województwa kieleckiego wpływają do nas coraz liczniejsze meldunki o rozwijaniu i ożywianiu życia świetlicowego.

We wsiach ODROWĄŻ (powiat Końskie) i SKALIBIERZ (powiat Kazimierza Wiejska) bardzo dobrze współpracuje w pracy świetlicowej młodzież z kół ZMP, hufców LPŻ i LZS. Wyniki są widoczne: każdy chętny może posiedzieć w ciepłej, estetycznie udekorowanej świetlicy, poczytać gazety i książki, pograć w ping-ponga i szachy, posłuchać radia, lub wreszcie przypatrzeć się ciekawej sztuce teatralnej.

A W KOCIOŁKACH POD PSEM...

Źle, bardzo źle dzieje się we wsi Kociołki, powiat Kozienicki. Koło Związku Młodzieży Polskiej istnieje tylko na papierze, Ludowy Zespół Sportowy gnuśnieje w bezczynności, hufcem Ligi Przyjaciół Żołnierza nie interesuje się nikt, świetlica stoi pusta, zimna i brudna.

Cóż na to Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i władze powiatowe ZMP, LPŻ i LZS?!

„ŻYCIE ŚWIETLICOWE"

Osobliwe życie świetlicowe rozwija się na wsi Zawady, powiat Dębica, woj. rzeszowskie. Otóż świetlca służy tam przede wszystkim jako miejsce zbiorowego picia wódki.

Ostatnio w „nieważki gaz" uderzyli tam trzej aktywni członkowie LPŻ i sportowcy, przyczym urządzili maleńki „występ artystyczny", złożony głównie z pijackich pieśni i przerywanych pijacką czkawką monologów.

Wstyd!

NA STRAŻY... ŚWIETLICY.

W gromadzie Radocza (woj. krakowskie) młodzież hufca LPŻ nie może się zbierać na zajęcia, a członkowie zespołu artystycznego LZS nie mają gdzie odbywać prób.

Winę za ten stan rzeczy ponosi Komendant Ochotniczej Straży Pożarnej, który niezłomnie strzeże wrót miejscowej świetlicy i nie wpuszcza do niej młodzieży.

Chyba nie na tym polegają obowiązki Komendanta Straży Pożarnej, prawda?

GRY ŚWIETLICOWE

We wsi Szczawiec, powiat Świebodzin, woj. zielonogórskie, istnieje świetlica o której można by powiedzieć: „ach, czegóż w niej nie ma!"

Bo rzeczywiście: tenisa stołowego nie ma, szachów nie ma, warcabów nie ma, książek nie ma, gazet nie ma.

Cóż więc robi młodzież w tej świetlicy? Po prostu gra w karty i to pod okiem niebyle jakiego instruktora, bo samego... przewodniczącego miejscowego LZS-u, Józefa Jaroszewskiego!

GDY CIĘŻARY SĄ CIĘŻAREM...

Rada Powiatowa LZS w Kępnie, woj. poznańskie „rękami i nogami" broniła się przed organizowaniem tak zwanych „konkursów siłaczy wiejskich", polegających na podnoszeniu 25-kilogramowych odważników. Rzekomym powodem niechęci do tej pięknej dyscypliny był brak odważników. Tymczasem okazało się, że w pobliskim magazynie Powiatowego Zarządu Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" spoczywa spokojnie aż 100 ciężarków, które mogły być bez trudności wypożyczone na potrzeby LZS.

Widocznie więc organizacja konkursów była zbyt wielkim ciężarem dla pracowników LZS z Kępna...

(Cz.)

CZYTELNICY PISZĄ

Spośród wielu listów, jakie otrzymujemy od naszych korespondentów i czytelników, publikujemy dziś niektóre z nich. Na listy nie publikowane, z braku miejsca odpowiadamy indywidualnie.

Kol. Józef Wójcicki z Kielc pisze do nas o pracy zespołów artystycznych LPŻ województwa kieleckiego. W liście jego m. in. czytamy:

Do dobrze pracujących zespołów artystycznych na terenie naszego województwa należy zaliczyć orkiestry dęte w Sandomierzu, Opatowie, Jędrzejowie i wojewódzką, zaś najlepszym zespołem jest zespół powiatu koneckiego z siedzibą w Koziej Woli. Zespół ten na przestrzeni swej niespełna dwuletniej działalności wielokrotnie występował na terenie swego powiatu i innych tut. województwa, a także występował na ogólnokrajowych dożynkach w W-wie w roku 1955. Sekcja chóralna w eliminacjach wojewódzkich odcinka wiejskiego w roku ubiegłym uzyskała 4-te miejsce. Obecnie zespół w Koziej Woli ćwiczy sztukę „Pieją Koguty".

Jedną z najważniejszych cech młodzieży tego zespołu, to wielki zapał do pracy. Tak np. na ogólną ilość 30-tu członków zespołu są zorganizowane cztery sekcje, a to: taneczna, dramatyczna, chóralna i muzyczna. Kiedy w lutym wskutek zbyt niskiej temperatury nie można było odbywać ćwiczeń w świetlicy gromadzkiej — odbywano je w mieszkaniach prywatnych, byle by nie przerywać swej pracy. Wysoki poziom tego zespołu należy zawdzięczać jego instruktorom Romanowi Wikierze i Br. Kloczkowskiemu.

W dalszym ciągu swego listu kol. Wójcicki ostro krytykuje zespół artystyczny z Włoszczowy, którego etatowym instruktorem jest kol. Maria Michalska. Zespół ten nie przejawia żadnej działalności.

O ile chodzi o orkiestry na terenie woj. Kielce — pisze nasz korespondent — to niestety kapelmistrz wojewódzki Stanisław Strójwąs nie udziela im żadnej pomocy, ani też nie kontroluje ich. Kol. Michalska i kol. Strójwąs! Wiosna idzie — obudźcie się!!

Kol. Jan Pietrzak z Zielonej Góry pisze:

Na terenie województwa zielonogórskiego istnieje szereg zespołów artystycznych, które przejawiają żywą działalność. Zespoły te wyjeżdżają na występy do spółdzielni produkcyjnych, państwowych gospodarstw rolnych, gromad indywidualnych oraz jednostek wojskowych. I tak — Gorzowski Zespół Pieśni i Tańca wystąpił 2 razy w Spółdzielni Produkcyjnej, Zespół pow. Międzyrzec, wystąpił w Jednostce Wojskowej oraz w gromadzie. Zespół artystyczny w Drezdenku wystąpił 3 razy ze swym repertuarem w PGR-ach i gromadach oraz w Skwierzynie. Obok aktywnej pracy Zespołów Powiatowych rosną nowe zespoły gromadzkie np. w gromadzie Pszczew, młodzież zwróciła się do Organizacji LPŻ z prośbą o udzielenie pomocy w zorganizowanu zespołu artystycznego. Liga Przyjaciół Żołnierza dopomogła w zorganizowaniu zespołu. W chwili obecnej zespół gromadzki liczy 180 czł. posiada sekcję taneczną, która pracuje pod kierownictwem ofiarnej i oddanej profesorki ob. Wołowskiej. Również zorganizowano tu 34 osobowy chór i kurs kroju na który uczęszcza 50 osób. Obecnie czynione są przygotowania do zorganizowania szkółki muzycznej.

Cieszymy się z osiągnięć w pracy zespołów artystycznych woj. zielonogórskiego, a nowopowstającemu zespołowi z gromady Pszczew, jak i jego instruktorom życzymy powodzenia i osiągnięć w pracy.

ZA ROZWIĄZANIE ROZRYWEK Z NR. 1—2 (24-25)

Nagrody książkowe w drodze losowania otrzymują:

Wiktor Niezogłowski, Dąbrowa Tarnowska, ul. B. Bieruta 55; **Eugeniusz Kujawiński**, Krosno n/Wisłokiem, ul. Sienkiewicza 6; **Władysław Szymaniak**, W. Bulina 12, p-ta Droginia, pow. Myślenice; **Lesław Borowiec**, Przerzeczyn Zdrój, pow. Dzierżoniów; **Kazimierz Jurecki**, Szydłowo, pow. Chmielnik, woj. Kielce; **Stanisław Ziembiński**, Lublin, Al. Racławickie 23, blok. 5 m. 41; **Teresa Wiechlińska**, Piotrków Tryb. ul. Rycerska 16 m. 6.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR 3(26)

HASŁO BRZMI „NASZA OJCZYZNA"

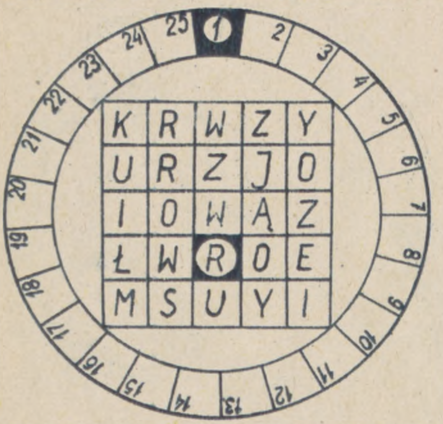
Nagrody książkowe w drodze losowania otrzymują:

Stanisław Walacik, Olsztyn, ul. Księcia Witolda 20; **Tadeusz Komosiński**, Zas. Szk. Mech. Roln., Nidzica, ul. Zamkowa 5; **Zygmunt Gajdziński**, Gołdap, ul. Kolejowa 7; **Leon Lubiniec**, Wrocław, ul. Opolska 69/6; **Klara Gadomska**, Działdowo, ul. 1-go Maja 11; **Jan Margulski**. Działdowo, ul. Pocztowa 12, Koło LPŻ przy P.S.S.; **Joanna Wodała**, Biała Prudnicka, ul. Szkolna 3, pow. Prudnik, woj. Opole.



KOMBINATKA

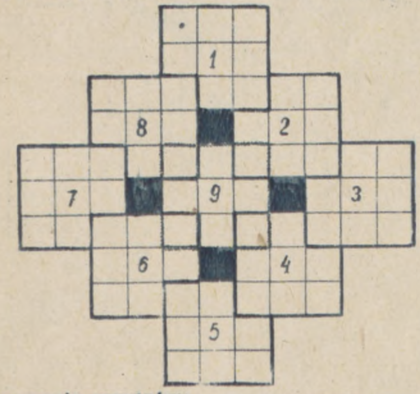
Do kwadratu, umieszczonego w środku podanej figury wpisz obok liter liczby tak, aby ich suma pionowo, poziomo i po przekątnych była jednakowa i wynosiła 65. W ten sposób każdej literze będzie odpowiadała liczba. Litery te wpisz do części zewnętrznej



figury tak, aby odpowiadające liczbom w kwadracie odpowiadały również liczbom na okręgu. Następnie przeskakując ciągle tę samą ilość liter, odczytaj rozwiązanie. Początek w kratkach oznaczonych.

WIRÓWKA

Do podanej figury wpisz wirowo 9 wyrazów o podanych niżej znaczeniach. Początek pierwszego wyrazu w kratce oznaczonej.



Znaczenie wyrazów:
1) kraksa, 2) jedn. wojskowa, 3) związki wielocząstkowe ,4) nie przyjaciele, 5) krewny krokodyla, 6) mebel, 7) 10 gramów, 8) imię żeńskie, 9) potomek zdrobniale w liczbie mnogiej.

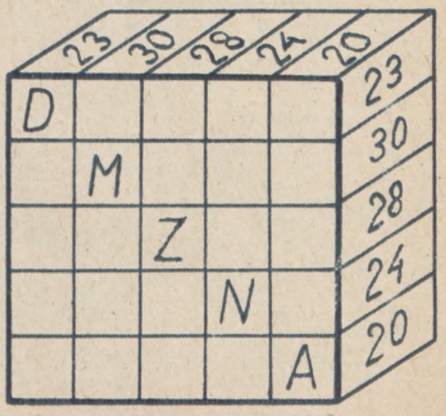
KONIKÓWKA

Ruchem konika szachowego obejdź wszystkie pola figury i odczytaj rozwiązanie. Początek w kratce oznaczonej.

E	A	S	H	(B)	W
P	T	I	Z	H	C
W	R	D	R	Ł	Z
O	O	U	I	Y	C
Z	O	W	A	D	A

ARYTMOKWADRAT MAGICZNY

Przyjmując, że literom: a, d, k, m, n, o, s, t, u, w, z odpowiadają kolejno liczby od 1 do 11, wpisz do podanego kwadratu takie słowa, które będzie można czytać pionowo i poziomo, z tym, że suma liczb poszczególnych słów winna się równać kolejno: 23, 30, 28, 24, 20. Dla ułatwienia niektóre litery znajdują się już na właściwych miejscach.



UWAGA! UWAGA!

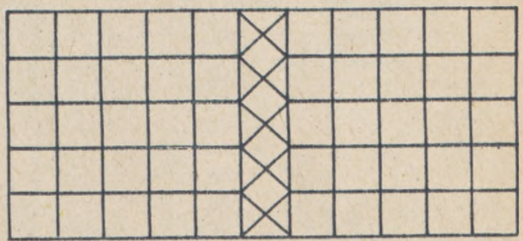
Rozwiązania rozrywek umysłowych nadsyłać należy w terminie do dnia 20 każdego miesiąca. Obowiązuje data stempla pocztowego. Po tym terminie, rozwiązania nie będą losowane.

METAMORFOZA

Od lewej części podanej obok figury wpisać wyrazy o podanych niżej znaczeniach. Następnie poprzestawiać litery poszczególnych wyrazów tak, by utworzyć 5 nowych słów.

Pierwsze litery słów nowo utworzonych dadzą rozwiązanie — tytuł powieści Gojawiczyńskiej.

Znaczenie wyrazów:
1) używana przy praniu bielizny
2) zwierzę hodowlane
3) nie cudzoziemiec
4) rzeka w Polsce
5) zaciek inaczej



Rozwiązanie konkursu pt. „Nasz Konkurs" z nr 1-2 (24-25)

Prawidłowe rozwiązanie konkursu brzmi:

Wrocław	— fabryka wagonów	— wagony
Łódź	— fabryki włókiennicze	— tkaniny
Płock	— fabryka maszyn rolniczych	— siewniki
Ursus	— fabryka traktorów	— traktory
Chorzów	— kopalnia	— węgiel
Wierzbica	— cementownia	— cement
Warszawa	— fabryka samochodów osobowych	— samochody osobowe
Nowa Huta	— huta	— stal
Gdańsk	— stocznia	— statki

Spośród nadesłanych licznych trafnych odpowiedzi, w drodze losowania, nagrody otrzymują:

Pióro wieczne — Krystyna Jasińska, Działdowo, Plac Stalina 1 (Biuro P.S.S.)

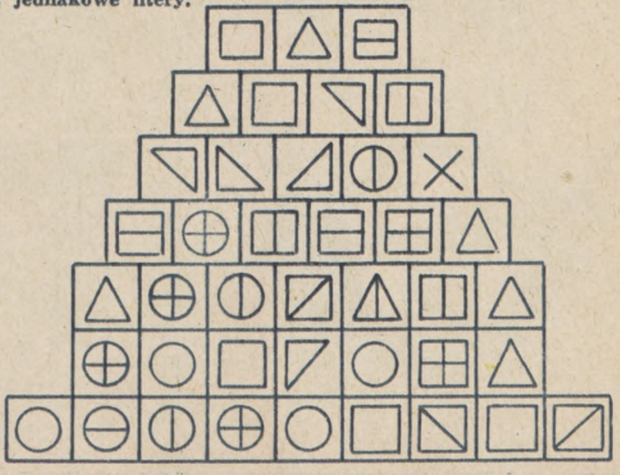
Portfel — Zygmunt Łokietek, Dębno-Lub., ul. M. Buczka 8/1, pow. Chojna.

Portfel — Aleksander Bojaczuk, Mierzęcin, Biuro P.G.R. p-ta Dobrogniew, pow. Strzelce Krajeńskie, woj. Zielona Góra.

Książki — Ludwik Bogdanowicz, Kętrzyn Plac Wolności 9/2; — **Tadeusz Bartoszek**, Lublin, ul. Noworybna 8 m. 6; — **Jerzy Jankowski**, Grudziądz, ul. Marcinkowskiego 2; — **Jan Stepnowski**, Kaczkowo p-ta Brok, nad Bugiem, pow. Ostrów Mazowiecki; — **Wiesława Bodzak, Lubartów**, ul. Wspólna 5; — **Józef Wiśniewski**, Warszawa, ul. Wolska 58/25; — **Edward Skowroński**, Gniezno, ul. Grunwaldzka 18/10.

SZYFROGRAM GEOGRAFICZNY

Odczytaj 7 nazw miast w Polsce. Dla ułatwienia podajemy, że w ostatnim rzędzie jest nazwa miasta, znajdującego się na granicy Polski, Czechosłowacji i N.R.D. Jednakowym symobolom odpowiadają jednakowe litery.



Wydaje Zarząd Główny LPŻ. Redaguje zespół. Warszawa, ul. Bracka 20a. Tel. 6-26-42. Zdjęcia: CAF. Wojsk. Zakł. Graf. Zam. Nr 6436. B-7-23835

Czy znasz?
TE ZNACZKI







Jak wiecie, drodzy czytelnicy, podobnie jak w Polsce „Liga Przyjaciół Żołnierza", tak w wielu innych krajach istnieją organizacje o podobnych celach. W różnych krajach, różnie się one nazywają.
Organizacje te posiadają swoje symbole (znaczki), które narysowaliśmy w naszym konkursie pt. „Czy znasz te znaczki?"
Rzeczą uczestników konkursu jest odgadnąć, w jakim państwie istnieją poszczególne organizacje, które symbolizują narysowane przez nas znaczki. Dla ułatwienia podaliśmy Wam równocześnie flagi tych państw. Uczestnicy konkursu winni wyciąć poszczególne flagi i znaczki, nalepić je na papier i zaopatrzyć w nazwę państwa.
A więc, gdyby w konkursie był narysowany znaczek LPŻ i flaga Polski, należałoby nalepić w jednym rzędzie obok siebie — flagę Polski i znaczek LPŻ oraz napisać — Polska Rzeczpospolita Ludowa.
Wśród uczestników konkursu, którzy nadeślą trafne odpowiedzi zostaną rozlosowane następujące nagrody:

I nagroda — komplet do siatkówki
II nagroda — komplet do ping-ponga
III nagroda — wieczne pióro
IV—X nagroda — książki

Odpowiedzi należy nadsyłać do dnia 10.5.1956 r.